

Adam Szczepański



ARGENTYNA

ADAM SZCZEPAŃSKI

ARGENTYNA

Copyright by Adam Szczepański & e-bookowo 2009

Projekt okładki, grafika: Adam Szczepański

ISBN 978-83-61184-34-8

www.e-bookowo.pl

Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.

Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości bez zgody wydawcy zabronione

Wydanie I 2009

www.e-bookowo.pl

TRZY SŁOWA OD AUTORA

Po pierwsze, w tej opowieści nie ma smoków. Ba, smoków – gorzej! Nie ma nawet jednego, cherlawego smoczątka. Przykro mi, ale nie. Po prostu. Dlatego, miłośnicy złych gadzin i szlchetnych rycerzy, by zmniejszyć wasze rozczarowanie lojalnie uprzedzam: smoków brak (rycerze owszem, zdarzają się, chociaż niekoniecznie szlchetni).

Po drugie, potencjalny czytelniku, wiedz, że wymyślanie tej historii sprawiało mi przyjemność. Niestety nie oznacza to, że automatycznie i ty, czytając, odczujesz podobną satysfakcję, jaką mnie sprawiło pisanie, choć oczywiście tego Ci życzę. Czuj się ostrzeżony.

Po trzecie, mam obowiązek wspomnieć, że Argentyna powstała z kilku powodów, także z miłości do muzyki. Dlatego tu i ówdzie da się znaleźć nawiązania do takich i innych twórców oraz ich muzycznych „dzieci”. Również w tytule. Nie zdradzę konkretnych, tym bardziej, że nie ma to większego znaczenia dla samej treści, ale są tam. I już.

Po ostatnie wreszcie, być może ta historia nigdy by nie powstała, gdyby nie konstruktywne zainteresowanie niektórych osób. Dlatego poniższe zdanie jest tu jak najbardziej na miejscu.

Magdaleno, Bartolomeo: to w jakimś sensie również i wasza opowieść.



„Śmierć jest dobra. Wobec wszystkiego zła, które dzieje się na świecie śmierć jest człowiekowi najlepszym przyjacielem”

M.W.

Miało się ku wieczorowi. Słońce nisko chyliło się nad lasem i tylko niektóre promienie przenikały jeszcze korony drzew, podobne uchodzącym żołnierzom przegranej armii, którzy rozrywają coraz ciaśniej zwarte szeregi wroga, nim okrążenie domknie się ostatecznie, zwiastując rzeź. Było cicho i spokojnie. Wszak każda ulewa kiedyś się kończy, milknie ostatni grzmot, słabnie ostatni podmuch wiatru. Ta, która nawiedziła ten stary bór, skończyła się już dawno, choć gdzieniegdzie stały jeszcze niewielkie kałuże, odbijając niezgrabne kształty grubych pni. W powietrzu czuło się niewyraźny zapach świeżych traw zroszonych deszczem. Woń młodości, życia. Skutecznie zabijaną przez odór rudego barbarzyńcy, kroczącego leśnym traktem. Nagiego barbarzyńcy. W odległości kilkunastu kroków za nim podążał Jallt, krzywiąc się z obrzydzeniem i kryjąc nos w fałdach opończy.

– Och dałbyś już wreszcie spokój. – Rudobrody zatrzymał się nagle odwracając na pięcie. – Przestań udawać wymuskanego paniczyka i skończmy to całe przedstawienie.

– Przedstawienie? Jak by ci to powiedzieć, druhu... Widzisz, zachowuję odstęp, bo... No cóż, nie pachniesz jak luksusowa niewolnica namaszczona wonnościami przed pierwszą nocą w łóżu swego pana.

– He? Że co?

– Cuchniesz gorzej niż błotna świnia, to!

– Ohoho! Znalazł się wytworniś. A wiesz jak ty pachniesz, panienczko?

– Fakt, może i nie zamorskimi pachnidłami. Ale przynajmniej nie wysmarowałem się wnętrznościami borsuka. I nie jestem nago!

– Przecież nie zrobiłem tego dla przyjemności, tłumaczyłem ci!

– Tak, pamiętam: „przed świtem Dnia Natury należy namaścić się wnętrznościami własnoręcznie zabitego dzikiego zwierza i paradować tak aż do zmierzchu, oczywiście nago. Dzięki temu...”

– ... Spłynie na mnie moc lasu, zmysły staną się czujne jak u lisa, a mięśnie mocne jak u niedźwiedzia, właśnie.

– Naprawdę w to wierzysz? Bogowie... Zrozum: nie dość, że śmierdzisz, to jeszcze, delikatnie mówiąc, twój widok nie sprawia mi przyjemności.

– Hehehe... Zazdrośnik, co? – Olbrzym uśmiechnął się szeroko.

Złodziej podniósł oczy do nieba, jakby czekał na grzmot, którym jakiś z bogów zada kłam słowom rudobrodego, ale nic takiego nie nastąpiło.

–Przeklęty naturysta. Mam nadzieję, że kiedyś takich jak ty będzie się piętnować, w najlepszym razie posądzając o pomieszanie zmysłów. No, chyba, że to będą młode, piękne dziewice, wtedy, czemu nie? Chociaż smarowanie wnętrzościami i tak można by spokojnie pominąć.

– Pominąć? Zwariowałaś? Przecież właśnie to jest w tym najważniejsze.

– Cóż dzikusie... Pozwól, że nie odpowiem. W każdym razie chodźmy – mruknął zrezygnowany. I niech już będzie wieczór, dodał w myślach.

Gdyby mieli dusze skaldów, mogliby pomyśleć, że oto właśnie słońce składa ziemi pożegnalny pocałunek, czule dotykając linii horyzontu. Ale nie mieli. A nawet gdyby, to idąc leśną ścieżynką nie oglądali słońca już od dobrej godziny, skutecznie zakryci przed promieniami baldachimem wysokich drzew. Przedwieczorna szarówka zwiastowała, że to ostatnie kroki, jakie zrobią tego dnia. Innego dnia Jallt psioczyłby, że znów przyjdzie im lec prosto z marszu w leśnej, mokrej trawie, otulając się płaszciami. Że znowu obudzi się z obolałym grzbietem, zziębnięty do szpiku kości. Ale tym razem nie psioczył. Przeciwnie, czekał na to. Czekał na moment, kiedy wreszcie zapadnie zmrok, a barbarzyńca w końcu raczy się ubrać i zmyje z siebie to śmierdzące paskudztwo. Wiedział, że już nie-
długo, niebawem.

Leśna gęstwina powoli zaczęła rzednąć. Nieznacznie i na krótko. Tauzaniusz nie-
spodziewanie wyszedł na niewielką polankę, zazdrośnie strzeżoną przez groźące do-
stęp drzewa i krzaki, za którą na powrót rozciągała się nieprzenikniona puszcza. Na
moment stracili się z oczu, ale mimo tego Jallt wiedział, że Ark przystanął. Poczuli to,
w miarę jak tężał odór borsucznych wnętrzości. Zbliżał się do najemnika, choć grymas
jego twarzy mówił, że wolałby żeby rudobrody szedł. Daleko, jak najdalej. Najlepiej
w cholerę. Nagle zobaczył rozstępujące się drzewa, szerokie plecy Tauzaniusza, polankę,
a na niej... No właśnie.

Na środku stała mała chatka. Była drewniana, w mocno opłakanym stanie,
z małym poddaszem, maleńkimi okopconymi oknami i dziurami w dawno nie łątanym
dachu. Ot, można by powiedzieć zwykła, zapuszczona chatynka. Rzecz w tym, że trudno
nazwać zwyczajną chatynką domek na kurzej łapce.

– Wiedźma – szepnął barbarzyńca. – Wiedźma, Jallt. Wiesz, że nie jestem stra-
chliwy. Ale uciekajmy, złodzieju. Uciekajmy póki czas.

– Wiedźma? Uciekajmy? Dobrze zrozumiałem? Myślałem, że ludzie Północy nie uciekają nigdy i przed nikim – prychnął łucznik.

– Przed żadnymi ludźmi, owszem. Niezależnie od liczby kompanii. Ale od sił nieczystych wolimy pozostawać z daleka, jak każdy.

– Sił nieczystych? Jedyłą siłą nieczystą, jaką tu widzę jesteś ty, wymazany tym smrodliwym specyfikiem. Poza tym zdawało mi się, że nie wierzysz w takie bzdury. Pamiętasz opowieść o Annikki Elesz? Ktoś tu chyba groził złamaniem nosa za wzmianki o gadającym kruk, nie tak?

– Och, czym innym twoje durnowate bajania, a czym innym znalezienie się twarzą w twarz z prawdziwą czarownicą, dobrze o tym wiesz.

– Czarownicą? Przed chwilą mówiłeś, że wiedźmą. Wiesz... Ten twój rytuał Dnia Natury naprawdę działa. Nie wiem, co prawda czy posiadłeś lisie zmysły i niedźwiedzią krzepę, ale bez wątpienia masz już zajęcze serce. Winszuję.

– Nie igraj ze mną, Jallt, nie teraz. Zatłukłbym cię za to, gdyby nie okoliczności.

– Ohoho, a jakież to?

– Jakie? A kto według ciebie mieszka w domku na kurzej łapce, barani łbie?

– Nie wiem, ale zaraz się przekonamy. Mam nadzieję, że właściciel będzie na tyle miły, że pozwoli nam przenocować, a zarazem na tyle rozsądny by nie próbował nas ograbić.

Ark zbladł.

– Nie odważysz się.

– Niby, czemu? Z powodu kurzej nóżki? Nie bądź dzieckiem. Robota zręcznego rzemieślnika. Nie powinna dziwić, tym bardziej w takim miejscu. Jak widać skutecznie spełnia swe zadanie odstraszać przygodnych gości, takich jak ty. Zresztą czy twoi współplemieńcy nie rzeźbią różnych maskaronów na dziobach swoich statków, mających odebrać resztki odwagi tym, których napadają?

– Rzeźbią. Z drewna. A to nie jest...

– Drewno czy co innego – materiał nieważny, liczy się efekt.

– Ale...

– Ale, ale. Czy jeśli jakąś dziewczkę z podrzędnego zamtuza czuć rybą, to bierzesz ją za syrenę? Nie rozśmieszaj mnie. Mam o tobie dobre zdanie, Ark. Cholernie dobre. Nie staraj się żebym je zmienił.

Tauzaniusz zbierał się do ciętej riposty, ale nie zdążył. Coś zaszeleściło w zaroślach. Za ich plecami trzasnęła jakaś nieostrożnie bądź celowo nadepnięta gałązka.

– Z kim mam przyjemność, moi mili? – Czyjś skrzekliwy głos niespodziewanie przerwał kłótnię.

Ark podskoczył szpetnie klnąc na głos. Jalltowi na chwilę serce podeszło do gardła, za co sklął się w duchu.

Za stary jestem na takie reakcje, pomyślał. Dużo za stary.

Odwrócili się. Za nimi stała staruszcza w szarym, znoszonym kubraku i czarnej zapasce. Na głowie miała czarną chustę, spod której wystawały długie siwe włosy, a na plecach zawiniątko z suchymi gałązkami. Pomarszczona twarz świadczyła o tym, że poza chrustem staruszka dźwiga na grzbiecie ciężar wielu minionych lat, ale jej oczy były nadal jasne i młode. Kryły blask właściwy ludziom, którzy zwykli czerpać z życia pełnymi garściami. Może szelmowski, a może złowieszczy.

– No? Mowę wam odjęło, miluteńcy? Kim jesteście? I czego szukacie w moich skromnych progach?

Nie bała się, choć powinna, stojąc sama naprzeciw człowieka ze szramą na policzku i rudobrodego barbarzyńcy. Nagiego barbarzyńcy, co zresztą zdawało się sprawiać staruszce pewną satysfakcję.

– Jesteśmy pielgrzymami, dobra kobieto – odezwał się Jallt, kłaniając się lekko. – Prosimy cię o nocleg, a jeśli łaska to i o jakąś strawę. Uczciwie zapłacimy.

– O jakiej zapłacie mówisz? Nie wyglądacie na majątnych. Twój towarzysz – wskazała na najemnika. – Nie ma nawet koszuliny.

– Pozory myślą – mruknął łucznik. – A on, hmm... Jest trochę zabobonny.

– Sądząc po tym i owym – zmierzyła rudobrodego od stóp do głów, zatrzymując się trochę dłużej w połowie drogi – Chyba raczej chełpliwy. Czym... – Głośno pociągnęła nosem. – Czym się tak wysmarowałeś, piękny chłopcze? Dzień Natury, co? – Uśmiechnęła się.

Ark pobladł.

– Mówiłem, że jest zabobonny. Sądząc po twoim domu, dobra kobieto, pomyślał nawet, że jesteś...

– Wiedźmą? – W oczach starej zatańczyły wesołe ogniki. – Nieładnie sądzić po pozorach, brodaczu, oj nieładnie... Bo wtedy ja mogłabym wziąć cię za mordercę, a two-

jego towarzysza za, dajmy na to, złodzieja. A przecież ludzie powinni sobie ufać – uśmiechnęła się złośliwie.

Ark zbladł jeszcze bardziej.

– Jeśli to cię uspokoi, piękny chłopcze, nie jestem wiedźmą. – Stara kobieta widocznie doszła do wniosku, że wystarczy już żartów.

– Skąd mam wiedzieć czy to prawda?

– Prawda? A czym jest prawda, kochaneczku? – rzekła w zamyśleniu. – Nieważne co jest prawdą, mój drogi. Ważne, w co ty uwierzysz. – Spojrzała barbarzyńcy głęboko w oczy.

Nie odpowiedział.

– Słońce już zaszło. Umyj się i przyodziej – dodała z nutką żalu w głosie. – Tam jest studnia. Nie chcę waszych pieniędzy, dostaniecie nocleg, a i coś do jedzenia się znajdzie. Ludzie powinni sobie nie tylko ufać, ale i pomagać, nieprawdaż? – Szcherbaty uśmiech wypłynął na pomarszczoną twarz.

Niebo rozjaśnił księżyc. Gdzieś blisko rozległo się hukanie sowy.

Rozłożyli się pod ścianą na drewnianej podłodze naprzeciwko paleniska. Złodziej przykucnął, starając się nie zajmować zbyt dużo miejsca, którego w małej chatce nie było wiele. Tazaniusz nie miał takich skrupułów. Rozsiadł się wygodnie, nie bacząc na rzeszę domowników – staruszkę, dwa spasioone czarne koty, kruka i wielkooką sowę. O Jallcie nie wspominając. Cała nieufność najemnika względem tego miejsca i jego mieszkańców minęła w chwili, kiedy z kotła zawieszzonego nad ogniem rozszedł się zapach smakowitej polewki. W każdym razie obu mężczyznom, głodnym i strudzonym wielogodzinnym marszem wydała się smakowita. Co dziwne, mimo że kocioł nie był szczególnych rozmiarów stawy wystarczyło dla gospodyni, Jallta, barbarzyńcy, który bez skrupowania dobierał sobie kilkakrotnie, a nawet obydwu kocurów. Skończywszy jeść Tazaniusz czknął głośno z wyraźnym zadowoleniem, opierając głowę o ścianę. Jallt wskrobywał resztki swojej polewki grubą pajdą razowca, zastanawiając się skąd staruszka bierze chleb. Mimo, że bacznie rozglądał się dookoła, nigdzie nie wypatrzył pieca.

Ha, grunt, że jest dobry, przemknęło mu przez głowę. "Nie pytaj, jeśli nie chcesz zostać zapytany", jej sprawa skąd go wzięła. Pewnie, kiedy indziej pomyślałby, że w pobliżu może być jakaś osada albo, chociaż domostwo, gdzie ktoś trudni się wypiekiem chleba. A w domostwie ludzie chętni poderznąć gardło śpiącym wędrowcom, kto wie,

może w porozumieniu ze starą kobietą. Pewnie miałyby się na baczności. Może nawet wybadałby staruszkę, ba, gdyby zaszła potrzeba mógłby nieco przysmażyć jej stopy w ogniu, tak dla pewności. Nie wahałby się. Ale nie teraz, nie dziś. W tej chwili było mu zbyt błogo i zbyt dobrze. Umoczył wargi w korzennym piwie, smakując każdy łyk. Poczł, że chce żeby ta chwila trwała jak najdłużej. Zastanawiał się, co to sprawiło? Ciężkie przyprawy przytępiające zmysły, których bogaty smak czuł w jadle i napoju? Możliwe, tym bardziej, że intensywny zapach ziół wiszących pod sufitem i porozkładanych tu i ówdzie na drewnianych sprzętach wypełniał całe wnętrze. A może powodem było zmęczenie? Zresztą czy to nie wszystko jedno?

Starowinka powoli dźwignęła się z zydła. Strzyknęło jej w kościach. Gruby kot niechętnie zeskoczył z kolan, mrużąc gniewnie. Uniosła klapę w podłodze, przez którą po kurzej łapce wspięli się do tej niezwykłej chatki, miejsca gdzie na chwilę odnaleźli szczęście. Sowa sfrunęła w czarną czeluść, wtapiając się w noc. Kłapa opadła z trzaskiem. Jallt uśmiechnął się do własnych myśli. Szczęście? Nie... Zadowolenie, to lepsze słowo. Do szczęścia potrzeba czegoś więcej niż ciepłego jada i piwa, choćby najlepszego. Idei, w którą wiara pcha człowieka do działania. Kobiety, o której myśl sprawia, że nawet w najtęższe mrozy nie czuje się chłodu. Sprawy, za którą warto by oddać życie. Kłopot w tym, że umieranie w imię czegoś uważał tylko za bardziej wyrafinowaną formę samobójstwa i niespecjalnie wierzył w wielkie idee. A kobietom nie ufał. Już dawno nauczył się, że ufać może tylko sobie, a i to nie zawsze. Nie, małymi rzeczami cieszą się prostacz-kowie, głupcy. Chociaż... Cóż, zawsze znajdzie się wyjątek potwierdzający regułę. Tak, może znalazłaby się jedna drobnostka, która uczyniłaby go teraz szczęśliwym. Przy- najmniej na chwilę.

Ech, nie warto o tym... Nim myśl przybrała pełne kształty jego wzrok napotkał spojrzenie starej kobiety. W jej oczach tańczyły wesołe iskierki. Było w nich coś przycią- gającego, odurzającego, nie umiał tego nazwać. Na tyle silnego, że nie mógł odegnąć przekonania, iż gdyby była młoda, lub gdyby on był tak stary jak ona, zostałby w tej za- padłej chatce w środku lasu. Dla niej.

Kobieta uśmiechnęła się nieznacznie, a jej twarz stała się jeszcze bardziej po- marszczona.

– Jeśli zgaduje, o czym myślisz, paniczu, to jest tam. – Skinieniem wskazała na półkę zastawioną różnymi naczyniami. – Obok fajki. Możecie się poczęstować. A na

mnie... – Odwróciła się w stronę poddasza, dokąd wiodła mała drabinka. – Cóż, na mnie już pora. Śpijcie dobrze, moi piękni.

Nad podziw zgrabnie, jak na swoje lata, wspięła się po drewnianych szczeblach. Jej tropem leniwie podążyły oba koty. Kruk równie leniwie trzepnął skrzydłami, zdobywając się na wysiłek niezbędny do dotrzymania towarzystwa swojej kompanii. Mężczyźni zostali sami. Rozleniwiony Jallt nie zamierzał zastanawiać się, skąd u licha mogła wiedzieć, o czym myślał. Jeśli wiedziała. Wstał, chwiejnie podchodząc do półki. Ciężkie piwo zrobiło swoje, w pierwszej chwili ściany zdawały się chybotać, a podłoga dziwnie wirowała, ale to wrażenie szybko minęło. Na wskazanym miejscu leżała drewniana fajka. Prosta, bez żadnych zbędnych rzeźbień i ozdobników. Obok niej stało gliniane naczynko przykryte wieczkiem. Wyglądało niepozornie w towarzystwie wielu większych naczyń i słoików. Złodziej zdjął je ostrożnie, odsuwając wieko. Dobrze znajomy zapach zakręcił mu w głowie. Głęboko wciągnął powietrze.

O tak, pomyślał, będziemy dziś szczęśliwi. Bardzo szczęśliwi.

Nachylił się do Tauzaniusza, który drzemał z głową opartą o ścianę. Podsunął mu pod nos otwarte naczynie. Intensywny zapach podrażnił nozdrza barbarzyńcy na tyle, że otworzył oczy. Długo wpatrywał się w zawartość naczynia: wysuszone liście brudnobrązowego koloru, o duszącym zapachu.

– Co to?

– Coś dobrego. – Jallt uśmiechał się tajemniczo. – Nazywa się... Zresztą, czy to ważne? Po co ci to wiedzieć? Nazwijmy ten specyfik kluczem do świata snów. To tak jak z kobietą: jeśli da ci rozkosz, będziesz ją kojarzył ze wspomnieniem natchnionych chwil, nie z imieniem. A to. – potrząsnął lekko zawartością naczynia. – Z pewnością cię nie rozczaruje.

–Mówisz, że...

–Tak, tak właśnie mówię.

Jallt delikatnie kruszył liście, nabijając fajkę. Wykonywanej czynności towarzyszył pewien rodzaj celebracji, tak jakby złodziej odprawiał rytuał poświęcony tajemniczemu bóstwu wszystkich fajczarzy. A może po prostu starał się nie zmarnować ani odrobiny tego brudnobrązowego złota? Tauzaniusz przyglądał się w milczeniu. Kiedy dzieło było skończone człowiek wydobył z paleniska tłący się węgielek, przytykając do główki fajki. Zrobił to wszystko na tyle zręcznie, że Ark mógłby przysiąc, iż kompan nie

poczuł w palcach nawet odrobiny ciepła. Ot, wyćwiczona zwinność złodziejskich rąk. Łucznik z zadowoleniem przypatrywał się skończonemu dziełu. Wreszcie zaciągnął się z namaszczeniem. Po długiej chwili wypuścił dym, a jego oblicze rozjaśnił szeroki uśmiech. Choć może właściwiej byłoby powiedzieć, że uśmiech dosłownie wypłynął na twarz Jallta, burząc jej spokojną powierzchnię, i że stałoby się tak nawet gdyby ów chciał powstrzymać jakikolwiek grymas. Ale nie chciał. Leniwym ruchem podał fajkę topornikowi. Ten również zaciągnął się głęboko, a jeśli złodziej oczekiwał tego, że Ark, jako niewprawy palacz zadławi się dymem, srodze się rozczarował. W pierwszej chwili po twarzy siłacza widać było, iż jego płuca nie przywykły do podobnych pieszczot, jednak kojące właściwości palonych liści szybko sprawiły, że i na jego obliczu pojawił się uśmiech błogości. Uśmiech szczęścia. Nie przestając się uśmiechać oddał fajkę współnikowi. Palili jeszcze długo, coraz szerzej uchylając drzwi do świata snów i marzeń.

– Jallt, powiedz mi coś o sobie. – Tauzaniusz leżał rozciągnięty na podłodze z rękami wsuniętymi pod głowę i patrzył w gwiazdy, jednocześnie zastanawiając się jak to możliwe, że są na wyciągnięcie ręki, mimo że powinien mieć nad sobą dach chatki.

– Hmm? – Wysoki mężczyzna drgnął, powoli zdając sobie sprawę, że gapił się na palenisko, a nie na wody okrągłego jeziora, zamkniętego ze wszystkich stron górami i porastającym je lasem, jak mu się dotąd wydawało.

– Opowiedz coś o sobie. W gruncie rzeczy mało wiemy na swój temat, nie uważasz? Nie chcę wyciągać twoich tajemnic, sam też swoich nie powierzę. Powiedz o tym, o czym chcesz i możesz mówić. Wspólniku.

– Hmm... – Złodziej zamyślił się, za wszelką cenę starając się przywołać z powrotem obraz jeziora, ale bez powodzenia. – Klucz. – Ruchem głowy wskazał na leżącą fajkę.

– Rozwiązuje języki, otwiera wiele drzwi, nieprawdaż?

– Prawdaż. – Ark uśmiechnął się szczerze. – Dlatego powinien być zakazany.

– Ooo, o to się nie kłopotcz, kiedyś na pewno będzie. Ale na razie nie jest, a zatem korzystajmy póki czas. – Spróbował się zaciągnąć, ale fajka była już pusta. – Więc? Co chciałbyś wiedzieć?

– Bo ja wiem... Chcę poznać skrawek twojej historii. Mówiłeś, że byłeś złodziejem w stolicy Cesarstwa i zawodowym łucznikiem. To dość różne profesje. Nie chcesz spleść tych szczegółów w jakąś całość?

– Nie chcę. – Jallt pokazał zęby w wilczym uśmiechu, a potem długo milczał. – Ale splotę.

Rudobrody powolnym ruchem uchylił się przed spadającą gwiazdą, mrużąc oczy. Złodziej rozpoczął swą opowieść.

– Urodziłem się i dorastałem w stolicy. Ojca nie znałem, w gruncie rzeczy nie jestem nawet pewien, czy znała go moja szanowna macierz, która była zawodową praczką. Cóż, być może jestem owocem jednej z tych nocy, kiedy przygodni kochankowie nie widzą swoich twarzy, zazwyczaj z obustronną korzyścią. W każdym razie wychowała mnie matka. Nie zarabiała dużo, więc w domu się nie przelewało. O wszystkich niekoniecznych do życia dziecięcych zbytkach, takich jak łakocie czy malowane zabawki mogłem tylko marzyć. Więc marzyłem. I kradłem. Ulica nauczyła mnie, że nikt nie daje nic w prezencie, a po wszystko, czego się pragnie trzeba samemu wyciągnąć rękę, licząc się z jej odrąbaniem, w razie gdyby coś poszło niepomyślnie. Ale początkowo wszystko szło znakomicie. Razem z przyjacielem moich dziecięcych zabaw, Knavsem, buszowaliśmy po targowiskach i bazarach, pełnych kolorów i zapachów, od najprzyjemniejszych, po te uważane za najbardziej odpychające. Wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy łupieżcami, panami szczęścia żeglującymi po bezkresnych morzach i rabującymi kupieckie flotylle. Każda kradzież równała się posłaniu na dno jednego statku jakiegoś grubego liczygrosza i wyrznięciu w pień całej załogi. Nie dawaliśmy pardonu. Nikomu. Nasze napaści były coraz bardziej zuchwałe, a w naszych dziecięcych marzeniach zła sława bezlitosnego Knavsa i krwawego Jallta obiegała cały świat. Tak, cały świat... Aż w końcu się nie udało. Jeden, jedyny raz. Do dziś pamiętam tego kupca, o grubej nalanej twarzy. Hałas, jakiego narobił ściągnął patrol, który akurat był w pobliżu. Łupieżcza wyprawa miała za sobą cesarską armadę, ale dobrze wiadomo, że małe statki rabusi są zwrotniejsze, szybsze i łatwiej nimi manewrować na wzburzonych wodach. Tak jak nam łatwo uciekało się przez ciasne uliczki zaułków stolicy. Umknęlibyśmy, gdyby nie to, że panem szczęścia nie można zostać na zawsze, panem szczęścia się bywa. I każdy pirat prędzej czy później kończy dyndając na rei. Knavs przestał być panem szczęścia właśnie wtedy. Potknął się, dopadł go strażnik miejski. Ja mknąłem dalej, a oni nie mieli ochoty na dalszy pościg. Uciekłbym. I gdy już znikąłem im z oczu jeden ze strażników, ten, który trzymał mojego przyjaciela, krzyknął żebym się zatrzymał, jeżeli nie chcę żeby poderznięli mu gardło. Byłem jeszcze dzieckiem, dopiero później nauczyłem się, że są chwile, kiedy należy baczyć tylko na siebie. Stałem. Zaciągnęli nas w ślepy zaułek, śmiejąc się. Jeden uderzył

Knavsa w twarz, wybijając mu zęby żelazną rękawicą. Wtedy zrozumiałem, że nie powinienem był się zatrzymywać, ale było już za późno. Znudzeni strażnicy postanowili wynagrodzić sobie trudy pościgu odrobiną rozrywki. Kpili z nas, chcieli nastraszyć. I udało im się znakomicie. Bawiło ich to, psich synów. Powiedzieli, że utną nam nasze lepkie, złodziejskie ręce. Wierzyliśmy im. Mojego przyjaciela ustawili pod ścianą, a mnie dali kuszę jednego z nich. Była tak ciężka, że ledwo mogłem ją utrzymać. Śmiejąc się położyli mu na głowie jabłko, jedno z kilku, jakie ukradliśmy, a mnie kazali strzelać. Nie chciałem, ale jeden przyłożył mi miecz do gardła. Wiedziałem, że jeśli nie posłucham – zginę. Dlatego strzeliłem. Celnie. Rechotali ubawieni. Położyli mu na głowie nowe jabłko i ponownie nabili kuszę. Znowu trafiłem. Płakałem, ale to nie były już łzy strachu, a gniewu i bezsilności. Tym razem nie śmiali się tak głośno jak wcześniej. Trzeci raz też trafiłem. I kolejny. Teraz nikt się nie śmiał. Dowódca zabrał mi kuszę, a Knavsowi kazał poderżnąć gardło. Wysoka cena za kilka jabłek i lukrowany piernik. Przestałem płakać, chociaż byłem pewny, że za chwilę spotka mnie to samo. Ale nie. Zabrali mnie do koszar, gdzie dowódca długo szeptał coś jakiemuś mężczyźnie w purpurowym płaszczu. Patrzyli na mnie, człowiek w płaszczu chwilę się zastanawiał. A potem zapadła decyzja, która zaważyła na reszcie mojego życia. Ten oficer zabrał mnie do cesarskiej szkoły, szkoły, która zmieniała dzieci w mężczyzn. W żołnierzy. Najlepszych w całym Cesarstwie. Jak się później dowiedziałem przyjmowano tylko dziesięciolatków. Ja miałem wtedy siedem lat, ale nikt nie pytał mnie o wiek. Nikt mnie o nic nie pytał. Przez długie lata byłem ćwiczony na cesarskiego łucznika. Długie osiem lat, w ciągu, których nie pozwalano nam opuszczać terenu szkoły. Czas, podczas którego uczono nie tylko sprawności w strzelaniu, ale zajęto się także moją gruntowną edukacją. Cesarskie szkoły należą do najlepszych. I wypuszczają tylko najlepszych. – Na zamyślanej twarzy pojawił się niewyraźny ślad pychy, ale szybko zniknął. – Co w niczym nie zmienia faktu, że było to bardzo długie osiem lat. Przez ten czas z dziecka zdążyłem przeobrazić się w młodzieńca. Młodzieńca, który znakomicie posługiwał się kuszą i łukiem. W końcu wybrałem łuk, bo wydał mi się bronią bardziej elegancką. Mniej mechaniczną, taką gdzie więcej zależy od tego, kto się nią posługuje. Można wypuszczać strzały jedna za drugą, szybciej niż z kuszy. Ba, jeśli jest się dość sprawnym można szyć nawet dwoma strzałami na raz, nie chybiając celu. Kusza jest jak kobieta gotowa na wszystko, gotowa oddać się każdemu. Da ci zaspokojenie, ale nic więcej. Nigdy nie będziecie stanowić doskonałej jedności. Łuk jest niewiastą, którą musisz zdobywać, oswoić. A kiedy w końcu tego dokonasz, ona pokaże ci, czym jest

prawdziwe spełnienie. Po skończeniu nauki wreszcie pozwolono nam swobodnie poruszać się po mieście. Chciałem odwiedzić matkę, ale biedaczka nie żyła już od dobrych kilku lat. Nigdy nie dowiedziała się, co się ze mną stało. Wstąpiłem na służbę cesarską, to rodzaj długu, jaki ci, którzy kształcili się w cesarskich szkołach wojskowych muszą spłacić swemu dobroczyńcy. Szesnaście lat. Dwa za każdy rok nauki. Wysoka cena. Z każdym rokiem doskonaliłem się w swoim rzemiośle, powoli stając się wiarusem. A ponieważ cesarski żołd nie należy do szczodrych od czasu do czasu kształciłem się także w złodziejskim fachu, stając się prawdziwym artystą. Było mi dobrze. Może nawet bardzo dobrze. Poznałem kobietę. Gdybyś tylko ją widział. – W oczach Jallta na chwilę pojawił się błysk, który jednak zaraz przygasł. – Choć może i nie zrobiłaby na tobie wielkiego wrażenia, nie wiem. W każdym razie dla mnie była wystarczająco dobra. Rudowłosa, o pełnych kształtach, dużych, krągłych piersiach, nie mieszczących się w dłoni i ciele pokrytym licznymi piegami. Miała bardzo delikatną skórę, wspinałą w dotyku. Pamiętam, że przez pewien czas poszukiwanie coraz to nowych piegów na mapie jej młodego ciała było całym moim światem. Stałem się kartografem – mrugnął – Nadzwyczaj zapalonym kartografem. Wydawało mi się, że byliśmy szczęśliwi. I że chcemy tego samego. Ale nie chcieliśmy. Pewnego dnia okoliczności zmusiły mnie do tego, by rozstać się z wojskiem. Bardzo szybko i nieformalnie. Zostałem dezertorem. A ona... No cóż. Nie chciała mi towarzyszyć. Widocznie uroki wielkomiejskiego życia były większe niż moje własne – uśmiechnął się.

– Wybacz ciekawość. – Ark nie rozumiał, czemu te przeklęte gwiazdy nie przestają spadać. – Ale co skłoniło cię do szybkiego i nieformalnego rozstania się ze służbą? Czyżby ktoś znaczny obudził się ze strzałą w plecach?

– Nie, złośliwce. Co prawda dowódcę patrolu, który przyłapał mnie wtedy na kradzieży, pewnego dnia znaleziono zabitego, tak jak mówisz. Ale sprawców nigdy nie wykryto. Poza tym on nie był nikim znaczącym. Stało się coś innego.

– Dowiem się?

– Tak. Widzisz... Stolica to bogate miasto. Także w różne wyroczenie i miejsca kultu. Czasem niektórzy z nas w ramach służby pełnili straż w takich miejscach. Mnie również się zdarzyło, traf chciał, że w wyjątkowo bogatej świątyni. Było tam wiele klejnotów, acz szczególnej urody był zwłaszcza jeden: tak zwane Matczyne Oko, wyjątkowo piękny kamień w naszyjniku założonym na posąg jednej z tych bzdurnych bogiń, które ludzie z taką łatwością powołują do życia. Nie potrafię słowami oddać piękna tego ka-

mienia. Musisz mi uwierzyć. Był niebieski i w półmroku świątyni mienił się różnymi odcieniami tego koloru, ale powiadano, że gdyby ktoś śmiertelny nosił go na szyi zmieniałby się w zależności od myśli i intencji właściciela, od czerni poprzez wszystkie barwy tęczy aż po biel. Nie muszę dodawać, że gdyby nosił go ktoś śmiertelny zmieniałaby się też jego wartość. Rosnąco. Zapytasz, czemu do tego czasu nie zmienił właściciela? Ha, strach przed gniewem bożym bywa naprawdę przemożny. A poza tym klejnot był piekielnie dobrze strzeżony przez specjalnie dobieranych ludzi. Niebagatelne znaczenie miał staż służby i zasługi oddane majestatowi. Byłem pod Biskvirk, a zatem miałem zaszczyt znaleźć się w tym gronie. W gronie, w którym jak wszędzie musiała pojawić się czarna owca. Ba, pojawiały się i przede mną. Ale rzecz prosta bez takiego treningu w złodziejskim fachu, jaki ja przeszedłem. Wszystkie plewy odsiewano od zdrowych ziaren. Złapanych nieszczęśników okrutnie zamęczano podczas publicznych kaźni, ku przestrodze innych. Mnie nie złapali. Zbyt zwinne palce. – Jallt z uśmiechem zamachał ręką przed oczami Tauzaniusza, przyprawiając go o chwilowe zawroty głowy. – Ale wiedziałem, że mam tylko jedno wyjście. Zniknąć. Nawet, jeśli nie zostawiłem po sobie żadnych śladów i w pierwszej chwili nie wiedziano, kto jest sprawcą, i tak wzięto by obecnych wtedy strażników na męki. Tak skuteczne, że wszyscy przyznalibyśmy się do kradzieży, mimo że moi koledzy nie mieli o niej pojęcia. A w końcu sam wskazałbym miejsce ukrycia kamienia. Więc zniknąłem. A że kobieta nie chciała mi towarzyszyć zniknąłem sam. Oczywiście nie powiedziałem jej o Matczynym Oku, wiedziałem już dobrze, że w pewnych wypadkach nie należy wpływać na decyzje innych brzękiem sakwy bądź ostrzem miecza. To była jedna z takich chwil.

– I gdzie się udałeś?

– Jak najdalej stamtąd, durniu, to chyba oczywiste. Choć szybko zorientowałem się, że to była nierozsądna kradzież. Jak dotąd ostatnia nierozsądna kradzież w moim życiu, choć wcześniej myślałem, że za takie uchodzą tylko te, kiedy zostaje się złapanym. Wieść o Oku znacznie mnie wyprzedziła. Wszędzie, gdzie przybywałem wiedziano już o skradzionym świętym kamieniu. Kamieniu, którego praktycznie nie można było sprzedać. Świątynia wyznaczyła olbrzymi okup, handel jakimikolwiek klejnotami powodował lawinę podejrzeń i oskarżeń. Na moich oczach denuncjowano zwykłych handlarzy szlachetnymi kamieniami, jako potencjalnych sprzedawców Oka. Ten kamień był nie do sprzedania, Ark. Żelazna zasada, nigdy nie kradnij czegoś, czego nie będziesz mógł upłynnić. Mało przez niego nie oszalałem. Czułem na sobie znaczące spojrzenia, wyda-

wało mi się, że ludzie wiedzą, co zrobiłem i że to ja mam kamień, choć przecież pewnie nikt się tego nie domyślał. Nie sypiałem nocami w obawie, że ktoś przyjdzie poderżnąć mi gardło i zabrać Oko. Miałem obsesję Ark, przeklętą obsesję. Ale na szczęście miałem też dość siły woli by się jej pozbyć.

– Jak?

– Zwyczajnie. Cisnąłem kamień do pierwszego jeziora, nad jakim przejeżdżałem. Tamtej nocy po raz pierwszy od tygodni spałem twardym snem.

– Co zrobiłeś?! Wyrzuciłeś fortunę?! Ot tak sobie?!

– Kolejna żelazna zasada, nie wahaj się zostawić łupu, jeżeli od tego może zależeć twoja skóra.

– Wyrzuciłeś do wody? Tak po prostu?

– Dokładnie. A kiedy przepadł, zniknął też mój niepokój. Kto wie, może ktoś kiedyś ukuje z tego przysłowie. Przepadł jak kamień w wodę. Brzmi nieźle, nie uważasz?

– Po prostu go wyrzucił... – Tauzaniusz roześmiał się głośno i rubasznie. Po chwili zawtórował mu wesoły śmiech Jallta.

– Wiesz złodzieju – powiedział rudy naśmiewszy się, ocierając łzy. – To kapitalna historia. Kapitalna. A coś mi mówi, że nie doszedłeś jeszcze nawet do połowy. Jedno mnie tylko zastanawia. Skoro od dziecka byłeś w cesarskim wojsku jak to możliwe, że nie robisz mieczem, co Jallt? Jak to możliwe, że nie walczysz wręcz, łuczniku? Coś nie pasuje w twojej zgrabnej układance.

– Wszystko pasuje, podejrzliwce. W cesarskiej armii jest podział na bronie, rozumiesz? Daleko posunięta specjalizacja. To cecha każdego dobrego wojska. Nie możesz być biegły we wszystkim, proste. Zobaczysz, kiedyś tak będzie w każdej armii. A co do mojej historii: właściwie to już prawie koniec. Przynajmniej na teraz. Każdy nosi wiele masek, zdjąłem przed tobą jedną, ale wciąż mogę mieć inne. Setki innych. Na razie musi ci wystarczyć to, co już wiesz. I może jeszcze to, że później, bywając tu i ówdzie, miałem się różnych zajęć. Z reguły najmowałem się jako złodziej albo łucznik. Częściej jako złodziej – dodał uprzedzając pytanie barbarzyńcy. – Udało mi się zyskać dobrą reputację. Dlatego dziś tu jestem. To wszystko, co chciałem opowiedzieć. A jako że drzwi do krainy snów nadal pozostają otwarte – przeciągnął się. – Oczekuję rewanżu. Oczywiście nie potrzebuję usłyszeć więcej niż powinienem. I niż ty sam chciałbyś mi powierzyć. – Położył się wygodnie blisko paleniska ciągle dającego przyjemne ciepło.

Rudobrody zamknął oczy żeby nie widzieć gwiazd tańczących opętańczo nad jego głową. Ale one nie zniknęły.

– Widzę gwiazdy – wyszeptał. – Nawet, kiedy zamknę oczy. One... Poruszają się.

– To chyba nie jest bardzo nieprzyjemne, co?

– Nie wiem. Chyba nie.

– A zatem do rzeczy Tauzaniuszu, ukołysz gwiazdy do snu swoją barwną opowieścią. Wszystkie, nawet te najodleglejsze. Niech zgasną.

Ark nie bardzo rozumiał, co złodziej miał na myśli, ale wydało mu się, że było to coś bardzo mądrego. Jallt powoli zdawał sobie sprawę, że właśnie palnął straszną bzdurę.

– Zanim przejdę do rzeczy, powiedz mi jeszcze coś... Ta kobieta, rudowłosa... Żałowałeś kiedyś, że hmmm... Nie badasz już tej mapy, kartografie?

– Nie. Bo, jak by ci to powiedzieć... To była mapa dobrze znanych okolic, rozumiesz? Nie była niezbędna, żeby dotrzeć w pewne miejsca nie potrzeba mapy. Są inne, bardziej warte studiowania. Nie, nie żałuję – złodziej nie zająknął się, ale gdyby Ark znał go lepiej wiedziałby, że kłamie – A skoro zaspokoiliś już ciekawość, która jak widzę dorównuje apetytowi, racz zaspokoić i moją. A zatem?

– Jestem księciem Północy...

– Hooo, już prawie zapomniałem, że nasz zacny specyfik nie tylko rozwiązuje języki, ale i pobudza fantazję – zaśmiał się łucznik. – Ale to miło widzieć, że ciągle aż tak trzyma cię w mocy.

– Mówię prawdę. Spłodził mnie Wogand Wielki, najpotężniejszy pan, jaki władał na północnych ziemiach w ostatnim stuleciu.

– Dobrze, to i ja się przyznam. Oszukałem cię, Ark. Moim ojcem jest księżyc, zstąpiłem z nieba.

– Kpisz, złodzieju. – W normalnych okolicznościach Ark pewnie kipiałby gniewem, ale palone liście poza tym, że ośmielały do gawędy i rozpałały wyobraźnię musiały mieć także kojące właściwości. – Kpij, zatem, żartuj do woli. Ale to nie zmieni tego, że jestem synem Woganda, jeśli wiesz, kto to. Księciem Północy!

– Dobrze wiem, kim jest Wogand. – Jallt obracał w palcach pustą fajkę. – A raczej, kim był. Krwawy watażka z północnych rubieży, wódz, jarl, jak to wy mówicie, najpotężniejszego z klanów Północy. Podporządkował sobie inne rody, tak, że cała Północ milcząco akceptowała jego zwierzchność. Po raz pierwszy w jej historii można było mówić

o jedności, czymś zbliżonym do federacji. O łupieżczych wyprawach Woganda krążyły legendy. Słyszeli o nim nawet na dalekim Południu. Był na tyle rozsądny, że nie szkodził bezpośrednio interesom cesarza, a zatem i jemu nie wchodziło w drogę. Cesarstwo miało pilniejsze sprawy. Tam gdzie bywałem pozostawał jedynie legendą, postacią, którą straszy się niegrzeczne dzieci. Ale dla sporej części świata nie był mitem, a koszmarem, po którym pozostają jedynie stopy ciał i pogorzeliska. Tak, Ark. Doskonale wiem, kim był Wogand. Ba, jestem nawet w stanie uwierzyć, że faktycznie przyłożył rękę do twojego poczęcia, ale...

– Może twój nieznany. – Na to słowo barbarzyńca położył specjalny nacisk. – Ojciec do spłodzenia cię musiał używać ręki, mojemu w zupełności wystarczyła jego męskość. Choć możliwe, że była podobnej wielkości, co ramię twojego tatulka. – Ark wyszczerzył zęby, wyraźnie z siebie zadowolony.

– Och, tak się tylko mówi. Nie sądzisz chyba... – zaczął łucznik, ale spojrzenie na siłacza uzmysłowiło mu, że ów żartował. Przez jakiś czas w chatce dudnił zdrowy, męski śmiech.

– Tak więc – podjął wreszcie Jallt. – Nie neguję tego, że Wogand faktycznie był twoim ojcem, tylko to jeszcze nie czyni z ciebie księcia. Nie zrozum mnie źle, ale gdyby za godne mitry uznać wszystkie nieprawie dzieci Woganda, można by stworzyć małą armijkę książąt.

– Nie rozumiem cię źle. Tym bardziej, że jestem jego prawowitym potomkiem. Jedynym synem Woganda Wielkiego, który...

– Wybacz, ale nie wierzę. Wogand nie nazwałby syna w ten sposób. Sieger, Torgrat, Vage – owszem. Ba, może nawet Olaf, choć to głupie imię. Ale Tauzaniusz? Wogand, postrach mórz? Swojego jedyne go syna? Nie Ark, nigdy. Łziesz jak pies. Jak kundel.

– Chcesz znać całą historię czy nie? Dasz mi w końcu dojść do słowa? Zamkniesz się wreszcie?!

Jallt chciał. Dał. Zamknął się.

– Wogand, postrach mórz, pan żywotów, oblubieniec śmierci pracował na swoją złą sławę przez wiele lat. Wiele długich lat, podczas których nie raz jego życie wisiało na włosku, ale kostucha zawsze okazywała się zbyt słaba lub zbyt łaskawa wobec tego zwiastuna krwi i pożogi. Dlatego nazywano go oblubieńcem śmierci, bo zawsze rzucał się w wir największych niebezpieczeństw i zawsze wychodził z tego żywy, choć nie bez

szwanku. Jego ciało znaczyło, bowiem wiele blizn, a jego skóra był jak księga, na której szramami spisywano historię niezliczonych wypraw i podbojów, historię Północy. Historię świata. Zwano go również panem żywotów, bo to on decydował, kiedy zacznie się rzeź i on dawał rozkaz do jej zaprzestania, co zwykle zdarzało się, gdy najzwyczajniej nie było już, kogo zabijać. Nie będzie wielką przesadą rzec, że decydował o życiu każdego człowieka Północy. A przynajmniej mógłby, gdyby zechciał. Swoją wspinaczkę na szczyt rozpoczął jako przywódca średniozamożnego klanu, ale dzięki niebywalej o dwadzie, sile, rozumowi, i, co miało niebagatelne znaczenie, sprawiedliwości, doszedł do najwyższych zaszczytów. Pociągnął za sobą ludzi nieprawdopodobnymi bogactwami, jakich żaden jarl nie zapewnił im nigdy wcześniej, ba, nigdy nie widzieli setnej części tego, co przynosiły wyprawy Woganda. Dla swoich był hojny w nagrodach i okrutnych w karach, dla wrogów tylko okrutny. Wyjątkowo okrutny, nie dziwne, więc, że z ust do ust podawano sobie wiadomości o straszliwym potworze z Północy. Był w nich wielkości góry, miał sto rąk, zabijał wzrokiem, a jego podmuch powalał drzewa. Nawet te najmniej przesadzone dziesięciokrotnie prześcigały rzeczywistość. Choć Wogand Wielki i bez szczypty przesady był wystarczająco przerażający by budzić strach nawet w najmniejszych sercach. Cała Północ albo była jego albo płaciła mu daninę. Słowem – był władcą. Zimnym, bezwzględny i okrutny, palącym, gwałcącym, rabującym i mordującym bez drgnięcia powieki. Ponieważ podporządkował sobie ziemie Północy za każdym razem musiał wyruszać coraz dalej. Długie wyprawy nagradzało to, że zawsze wracano z coraz bogatszym łupem. Pewnego razu, podczas rabunku odległej południowej krainy, której obrońcy nie stanowili dla mych pobratymców żadnego wyzwania, w przeciwieństwie do ich kobiet i dobytków, wziął sobie brankę, córkę władcy tamtych ziem. Z reguły barbarzyńcy nie brali jeńców, nawet, jeśli miałyby być nimi piękne niewiasty. Wszak trzeba by je żywić podczas długiej drogi do domu, no i zajmowałyby miejsce, w którym można było złożyć więcej złota. Oczywiście w trakcie wypraw folgowano żądzom, jednak niepisana zasada mówiła, że tylko kobieta północnej krwi godna jest łoża wojownika. Czemu więc miano by wieść ze sobą piękne branki, skoro i tak po powrocie do domów nie byłyby godne tego by zostać oficjalnymi nałożnicami panów mórz? Tym bardziej, że za wieszony łup każdy mógł kupić piękną żonę lub niewolnicę, gdyby tylko zechciał. Oczywiście na Północy. Taki był zwyczaj – żadnych jeńców, żadnych branek. Ale Wogand go złamał. Był potężny, mógł sobie na to pozwolić, choć nie wszystkim się to spodobało. Wziął sobie królewską córkę z zamiarem zrobienia z niej nałożnicy. Na imię miała Argypa. Starsi

nie pochwalali tego czynu, ale i nie dziwili się, branka była nad wyraz piękna. Jej kręcone kruczoczarne włosy, drapieżne kształty, kasztanowe oczy, skóra o ton ciemniejsza niż u kobiet, jakie znali i krwistoczerwone, wydatne usta przyprawiały wszystkich o dreszcz pożądania. I duma, jej niezwykła duma i hardość, której złamanie musiało stanowić podniecające wyzwanie. Kobieta nie załamała się, choć musiała nienawidzić i przeklinać własnych oprawców i morderców swoich bliskich. A mimo tego z godnością znosiła wyznaczony los, gotowa na najgorsze. Ale najgorsze nie nadchodziło. Wogand nie tknął jej w podróży, nie tknął także po powrocie, w swojej warownej siedzibie. Powiedział kobiecie, że czuje jej nienawiść, tak samo dobrze, jak ona jego pożądanie. Powiedział też, że jest cierpliwy. Przyobiecał, że nie spotka jej krzywda i że jest wolna i może robić, co jej się spodoba, poza jednym: nie może stamtąd odejść. Dodał też, że będzie czekał aż odda mu się z własnej woli i że ten dzień nadejdzie, choć nie wie, kiedy. Tak, to był dziwny człowiek i czasem zdarzało mu się działać zupełnie niezgodnie ze swoim wizerunkiem. Dlatego zazwyczaj nie sposób było odgadnąć jak się zachowa. Rzekłbyś sowa w niedźwiedziej skórce. Swoim ludziom zakazał tykać kobiety pod karą gardła. A Wogand zawsze dotrzymywał słowa. Dziewczyna przez rok przyzwyczajała się do nowego życia, przez cały czas dysząc żądzą zemsty. Nie raz musiał wykręcać jej zgrabne ręce wytrącając z nich nóż i nie raz widział w jej oczach błysk nienawiści. Jednak mimo tego nigdy jej nie uderzył i traktował tak samo dobrze jak na początku. Po roku dała spokój i pogodziła się z losem. Nienawiść nie osłabła, ale nie próbowała już targnąć się na życie swojego opiekuna. Po dwóch latach niechęć zmaląła. Po trzech znikła. Po czterech była mu córką, po pięciu kochanką, w szóstym roku została jego żoną. Nie pytaj jak nienawiść przerozdziała się w miłość, nie wiem. Człowiek to dziwne stworzenie. Zwłaszcza kobieta – mruknął. – W każdym razie stało się. Ludziom to się nie spodobało, ale przywykli, złamani żelazną wolą Woganda. Wkrótce z tego związku narodziło się dziecko. Syn. Ja. Imię dostałem po praprzodku, dziadku Argypy, Tauzaniuszu, w swoim czasie władcy owej południowej krainy. Tak chciała matka, a ojciec nie oponował. Dla podkreślenia, że w moich żyłach płynie także północna krew dodano mi drugie miano, Ark. Jak więc widzisz byłem owocem prawnego małżeństwa, pierworodnym Woganda Wielkiego. Ten stary łajdak oszukał prawa, czyniąc mnie swoim dziedzicem i następcą, mimo że według naszych zwyczajów byłem synem kobiety niegodnej. Oszukał także mnie. I samego siebie. Myślę, bowiem, że w głębi duszy dobrze wiedział, że kiedy w końcu on sam uda się do Krainy Wiecznej Nocy moźni i rada starszych nie dopuszczą do tego żebym przejął tytuł jarla.

Nawet, jeśli ze strachu przed moim ojcem złożyli przysięgę na wierność rudemu chłopięciu o dziwnym imieniu, spłodzonemu z niewolnicą. Myślę, że wszyscy wiedzieli, to była wielka gra, udawanie, po śmierci ojca wszystko miało się zmienić. Milczące kłamstwo wliczone w zwyczaje ludów Północy. Wogand zachowywał twarz, wyznaczając następcą pierworodnego, a rada zachowywała swą powagę dochowując wierności dawnym prawom i nie pozwalając by po śmierci starego jarla władzę przejął ktoś nieczystej krwi, choćby był to syn samego pana żywotów. A że przysięgali? Cóż z tego, przysięga łamiąca odwieczny zwyczaj była przecież nieważna. Wszyscy wiedzieli i wszyscy udawali. Poza moją matką. I mną. Ojciec żył długo, a ja dorastałem przy jego boku. I uczyłem się. Głównie walczyć i zabijać. Byłem w tym dobry, Jallt, bardzo dobry. Choć stary czasem karmił moją pochopność i przeklinał domieszkę południowej krwi. W takich chwilach mówił, że nie będzie ze mnie jarla, że nadaję się tylko na rębajłę, którym dowodzą inni. Cóż, może i miał rację – pokazał zęby w uśmiechu. – Ale nawet, jeśli: diablo dobrego rębajłę, Jallt. Zapamiętaj to. Wogand zmarł, kiedy miałem dziewiętnaście lat. We śnie, ze starości. Dziwnie jak na kogoś, kto, jak mówili jedni, własnoręcznie zabił setki, a jak gadali inni nawet tysiące ludzi. Według zwyczaju po pochówku wodza przez dziesięć dni trwa żałoba, a po jej zakończeniu rada w uroczystym obrzędzie przekazuje władzę jego najstarszemu synowi. Opłakiwałem ojca, owszem. Ale bardziej czekałem. Tak, złodzieju, czekałem na władzę, licząc wolno upływający czas. Dziesięć długich dni. O jakże byłem naiwny i głupi. Dziesiątego dnia przybyli przedstawiciele rady prosząc mnie na wiec, na którym zgodnie z tradycją winni przekazać mi dębowy tron i przyrzec wierność. Ale miast tego zostałem zdradziecko pojmany. Moi współbracia dobrze wiedzieli jak niebezpieczną mieszanką jest krew dzikiego Woganda z tą południową kocicą, którą tak pogardzali, i że jeśli postąpią nierozważnie kilku zbyt blisko stojących może mieć strzaskane czaszki. Dlatego to, co mieli mi do powiedzenia przedstawili dopiero, kiedy leżałem skrępowany i bezbronny jak dziecko. Starszyzna obwieściła, że z powodu pochodzenia mojej matki przysięga, jaką złożyli Wogandowi Wielkiemu jest nieważna i że władza przechodzi w ręce najmłodszego z nich, Torgunda Złotobrodego i jego dziedziców. Nastąpił uroczysty ceremoniał przekazania władztwa, a potem przemówił ten pies, Torgund. Zawsze pałał nienawiścią do ojca, ale zbyt go obawiał żeby spróbować stanąć na jego drodze. Mnie się nie bał. Nie dostatecznie. A powinien był, parszywy kundel. Powiedział, że moja matka jako kobieta podłej krwi zostaje pozbawiona wszelkiego dobytku i skazana na śmierć przez strącenie ze skały. Śmierć, której ja uniknę, ponieważ w

moich żyłach poza jej suczą juchą płynie i odrobina krwi szlachetnego Woganda. Ale jako że nie jestem godzien nie tylko sprawować władzy, do czego ojciec pragnął mnie przeznaczyć, ale również nie mogę być uważany za członka jego klanu, skazuje się mnie na wygnanie. O ile wygnaniem można nazwać wrzucenie do łodzi kogoś skrępowanego jak szynka i puszczenie jej na pełne morze w czasie burzy. Osobliwe podejście, nieprawdaż? Wszyscy byli pewni, że zginę, Jallt. Wszyscy. Ale ja nie zginąłem. Nie wiem jak długo dryfowałem i jak blisko byłem śmierci. Myślę, że blisko, bardzo blisko. Widocznie stara kostucha dostrzegła we mnie coś z tego, co widziała w ojcu i co sprawiało, że przez całe jego łupieżcze życie patrzyła nań przychylnym okiem. Straciłem przytomność, którą odyzyskałem dopiero po wielu dniach. Tak, morze było łaskawe. Pochłonęło moją łódź, ale mnie samego wyrzuciło na brzeg, daleko na wschód od miejsca, gdzie moi współplemieńcy wyprawili mnie w, jak im się wydawało, ostatnią podróż. Znaleźli mnie miejscowi rybacy i, nie uwierzysz, zamiast dobić zabrali ze sobą i pielęgowali, pomagając odzyskać siły. Miałem szczęście. Północ obfituje w wojownicze ludy, które swoich praw zwykły dochodzić stałą i które tą samą stałą mają w zwyczaju traktować obcych. Ale moi wybawcy należeli do jednego z tych nielicznych północnych plemion nie parających się wojaczką, a na swoje utrzymanie zarabiających łowieniem ryb i handlem. Choć większą część połowów muszą oddawać bardziej wojowniczym sąsiadom, którzy w zamian za płacony haracz zostawiają ich w spokoju. Właśnie, dlatego pozostawili mnie przy życiu, licząc, że przy okazji najbliższej daniny będę naddatkiem, który im się opłaci. Tego wszystkiego dowiedziałem się od moich rybaków podczas długich tygodni, kiedy dochodziłem do siebie. A także tego, kto rok rocznie wydusza z nich ile tylko zdoła, w zamian za nie palenie ich nędznych domostw. I widzisz, przyjacielu, tu los uśmiechnął się do mnie raz jeszcze. Bowiem ci biedacy opłacali się Dargowi Gronhaldowi, który tak jak wszyscy panowie Północy nienawidził Woganda, ale jako jedyny był na tyle silny, że przynajmniej nie starał się tego ukryć. Choć oczywiście uznawał jego zwierzchność. Skoro nie stało Woganda, skoro jego miejsce zajął Torgund pomyślałem, że może... Ale nie byłem też na tyle głupi żeby sądzić, że Gronhald będzie pakował się w coś, czego powodzenie jest wątpliwe. Wiedziałem, że jeśli dowie się, kim jestem, nie pospieszy mi z pomocą, a raczej pozbawi głowy, jako syna znienawidzonego jarla, który swego czasu nałożył mu kaganiec. Tak, Darg Gronhald nie potrzebował znać mojej tożsamości. Ale gdyby tak... Gdyby dał mi trochę czasu, broni, gdyby powierzył tych wsiowych kmiotków, od których ściągał marną daninę... Oczywiście marną jak na jego żądzę złota. – Ark przesu-

nął ręką po zmęczonej twarzy. – W osadzie przebywałem przez pół roku, stając się jej częścią. Wspólnie pracowaliśmy, żyliśmy i odpoczywaliśmy, poznając i ucząc się nawzajem. Kiedy zbliżał się dzień złożenia okupu poszedłem do nestora wioski i powiedziałem, że w tym roku nie zapłacę. Myślał, że jestem szalony. I może miał rację. Może też próbowałiby mnie powstrzymać, gdyby nie to, że... Właściwie nie wiem, dlaczego. Może się bali? Tak, ci ludzie od lat byli przesiąknięci strachem. Wojownicy Darga przybyli po okup niczym lis wpełzający do kurnika. W dziesięciu. Do osady gdzie było stu mężczyzn, wyobrażasz sobie? I oni płacili, złęknieni niczym kury. Aż do tego roku. Bowiem właśnie wtedy ku wielkiej uciechu przysłanych zabijaków oświadczyłem, że nic nie dostaną. Przynajmniej póki jestem żywy. O tak, rozbawiłem ich. A kiedy wreszcie przestali się śmiać zapewnili, że ten stan nie potrwa długo. Jak widzisz, nie mieli racji. Zabiłem dziesięciu, a ostatniemu, który okazał się synem samego Gronhalda, kazałem prowadzić się do ojca. Mimo że wraz z przybyciem zbrojnych osada całkowicie się wyludniła, wiedziałem, że wszyscy są obecni, ukradkiem patrzą przez szpary w deskach, obserwują wyglądając ze swoich nędznych kryjówek. I cieszyło mnie, że zdobywam podziw tych ludzi. Szacunek, który chciałem wykorzystać w przyszłości. Synalek Darga, teraz załęczony jak nieletnia dziewczka, powiódł mnie przed oblicze srogiego rodzica. A ja kornie prosiłem jarla żeby mnie wysłuchał zanim każe nadzieć na las włóczni albo obłupić ze skóry. Powiedziałem, że mam dla niego propozycję. I wysłuchał, a co dziwniejsze, przyjął to, co miałem mu do zaoferowania. Tylko człowiek Północy mógł przystać na taką ofertę, ty tego nie zrozumiesz. Nie powiedziałem Dargowi, kim jestem, nie zdradziłem nic nad to, że Torgund zabił moją matkę, a ja szukam zemsty. Nie było w tym nic nadzwyczajnego, wszak setki ludzi miały prawo szukać pomsty na zabijakach Woganda. Ale niewielu z tych setek dałoby w pojedynkę radę dziesięciu doborowym wojom Darga Gronhalda. Myślę, że patrzył na mnie z pewnym podziwem, ba, może nawet z zazdrością. Zainteresowałem go, a może rozbawiłem. Tak, z pewnością moja nietypowa prośba musiała go rozbawić. Do dziś pamiętam jak siedzi na dębowym tronie, słuchając mojej opowieści. I błysk rozbawienia w jego siwych oczach. Ale nie roześmiał się głośno, okazując mi szacunek. A ja... Ja złożyłem mu propozycję. Prosiłem o wiele. O czas. O pięć lat dla rybackiej osady bez płacenia daniny. Pięć lat, w czasie których ja, rudowłosy młokos, przeobrażę jej mieszkańców w nieustępliwych wojowników, a ostatniego roku powiodę przeciw Torgundowi Złotobrodemu i złupię jego stolicę. Wszystkie bogactwa zdobyte w skarbcu przekażę Dargowi, jako rekompensatę za utracony haracz, dla siebie pragnąc jedynie

bojowego topora Torgunda, który wcześniej, o czym Gronhald nie potrzebował wiedzieć, należał do mojego ojca – Ark pieszczotliwie pogładził ostrze swojego oręża, wpatrując się w nie z niemal ojcowską czułością, co nie uszło uwadze Jallta – Dla siebie nie chciałem nic więcej poza dopełnioną zemstą. W zamian za wszystkie przyszłe bogactwa żądałem zniesienia daniny płaconej przez rybaków, zaś w razie niepowodzenia ofiarowałem mu wszystko, co miałem, czyli siebie jako niewolnika. Nie, nic nie mów. – Gestem ręki powstrzymał towarzysza, który najwyraźniej chciał zadać jakieś pytanie. – Byłem młody i nie dostrzegałem naiwności tej propozycji, w przeciwnym razie nigdy bym jej nie złożył. Siła młodości w pewnym sensie opiera się na towarzyszącej jej głupocie, na tym, że decydujemy się na coś, na co w późniejszym wieku bylibyśmy zbyt rozważni i doświadczeni. I to coś przewrotnie czasem się udaje. Darg Gronhald wiedział, że gadam bzdury, a moje mrzonki nie mają żadnych szans powodzenia. Ale rybacka wioska nie była dla niego wiele warta i kusiło go to, że mogła dostarczyć mu rozrywki. No i przede wszystkim chciał mnie. Pięć lat marnego haraczu za niewolnika, którego w tamtej chwili byłby skłonny kupić, płacąc jego dwukrotną wartość? Niewielka cena. Oczywiście pomyślisz, że mając mnie w swoich rękach Gronhald mógł przymusić do wszystkiego, nie płacąc za nic i o nic się nie targując, ale mylisz się. Mógł mnie zabić, torturować, ale jego niewolnikiem mogłem zostać tylko wtedy, kiedy sam się na to zgodzę. Z własnej woli. Wiedziałem o tym. I on też wiedział. Naturalnie istniało duże prawdopodobieństwo, że polegnę i Darg straci swoje pięć lat, ale któż z możliwych nie lubi hazardu? Niejednokrotnie wasi królowie w ciągu jednego wieczoru przepuszczają większe sumy niż ta, którą Darg Gronhald postawił na okres pięciu lat. Przysięgliśmy sobie i na potwierdzenie przysięgi uścisnęliśmy prawice. Wróciłem do osady i zebrawszy mieszkańców na głównym placu powiedziałem, że są zwolnieni z haraczu na okres pięciu lat, a to co będzie później zależy tylko od nich, że mają los w swoich rękach. Byli pod wrażeniem mojej walki z wojami Darga, uwierzyliby nawet gdybym obiecał, że zdobędziemy cały świat. Poza tym ludzie mają skłonność do nie myślenia o niebezpieczeństwie, kiedy jest ono jeszcze daleko. Po co martwić się ceną, skoro czas zapłaty przypada dopiero za pięć lat? Pięć długich lat! Wszyscy przysięgli mi posłuszeństwo. A ja ich ćwiczyłem. To były długie lata, Jallt. Długie i trudne. Ale i szczęśliwe dla całej wioski. Udało mi się zrobić z nich wojowników. Całkiem dobrych wojowników. Ba, zaczęliśmy nawet wypuszczać się na pomniejszych osady i wioski, ćwicząc w sztuce wojennej. Ci ludzie nigdy nie byli bardziej wolni niż wtedy. Pięć lat wolności w zamian za życie? Kto wie, może powiesz, że to towar nie wart ceny.

Ale ja myślę, że wart, złodzieju. Diabło wart. Cieszyliśmy się tym, a Darg bacznie obserwował nasze postępy, kto wie, może nawet niepokoił się, że na własnej piersi hoduje gada, który kiedyś może skoczyć mu do gardła. Lecz niepotrzebnie, w końcu przysięgałem. Aż wreszcie przyszedł czas zapłaty. Wyruszyliśmy wśród śmiechów, przy dźwiękach piszczałek i pieśni. Tak, Jallt, było niemal jak w starych baśniach. Prawowity dziedzic podstępnie pozbawiony władztwa wyruszał przeciw złemu księciu. Ale, jak obaj dobrze wiemy, życie to nie bajka. Zostaliśmy rozbici i przetrzebieni już w pierwszym starciu. Ba, żeby jeszcze z klanem samego Torgunda. Ale nie podejrzewam, żeby wieść o nas doszła do jego stolicy, a jeśli nawet to nie wywołała tam większego echa. Ot zwykła międzyplemienna bitewka, jakich wiele na Północy. Mimo wszystko sprawiliśmy się dzielnie. Bardzo dzielnie, choć nie jestem pewien czy ktokolwiek poza mną przeżył, a jeżeli, to takich szczęśliwców można by policzyć na palcach jednej ręki. Ja sam byłem ciężko ranny, zwycięzcy z pewnością uznali mnie za jednego z zabitych. Dogorywałem. I skończyłbym tam wykrwawiając się powoli, gdyby nie to, że Gronhald wysłał za nami swoje psy gończe. Widocznie był ciekaw czy jego przyszły niewolnik wyjdzie z tego cało i w razie, czego chciał dopilnować żeby mu nie uciekł. Jego ludzie zabrali mnie do siedziby swojego pana, a tam przez długie miesiące walczyłem ze śmiercią. Ponownie z powodzeniem, choć początkowo było to mocno wątpliwe. Siłując się z kostuchą majaczyłem i tak Darg dowiedział się, kim jestem, a kiedy doszedłem do siebie postanowił to wykorzystać. Ja, jako jego niewolnik, nie miałem nic do tego, choć jak się później okazało dało mi to okazję do zemsty na Torgundzie. O tak, nie wszystko jest takie, jakim się pozornie wydaje, Jallt, ostatecznie opłaciło mi się być niewolnikiem. Jak może wiesz zwyczajem Północy są zjazdy wszystkich przywódców plemion i klanów, odbywające się co trzy lata. Niby służące umacnianiu wzajemnych więzi i rozwiązywaniu problemów, ale tak naprawdę pretekst do uczt, pijatyk i świecenia bogactwem w oczy biedniejszych sąsiadów. Ale zjazdy służyły jeszcze czemuś. Od niepamiętnych czasów jedne rody Północy podbijały inne. Z reguły działo się to wskutek krwawych walk i najazdów, ale była i druga, rzadsza metoda: pojedynki wodzów. Zwycięzca przejmował władzę nad ludem zabitego przeciwnika. Takie pojedynki odbywały się właśnie podczas zjazdów, w majestacie prawa i na oczach wszystkich możliwych. Sęk w tym, że wyzwanie można było rzucić tylko wodzowi równemu sobie bądź słabszemu. A zatem Darg nie mógł wyzwąć Torgunda. Ale Gronhald dobrze znał mentalność swoich współbraci, przewidział, że moja osoba w jego orszaku i pysnienie się, że syn Woganda Wielkiego jest niewolnikiem Darga Gronhald

zakładają Złotobrodego. I nie zawiódł się. Torgund, odpowiednio sprowokowany i podochocony trunkiem rzucił mu wyzwanie. Spełnienie marzeń mojego pana było na wyciągnięcie ręki. Lecz czasem okazuję się, że wyciągnięcie ręki to jednak stanowczo za daleko. Darg nie miał szczęścia, przegrał. Legł z głową roztrzaskaną toporem, a wraz z jego śmiercią ja przestałem być niewolnikiem. I wtedy, choć może byś mnie o to nie podejrzewał – uśmiechnął się. – Przemówiłem. Rzuciłem na Torgunda publiczne oskarżenie o sprzeniewierzenie się woli mojego ojca, złamanie przysięgi i próbę zabicia mnie, prawowitego władcy. Wyzwałem go do walki. Oczywiście nie miałem prawa, wszak byłem nieczystej krwi i regułem Północy bliżej było do racji Torgunda niż moich. Na dnie serc wszyscy słuchacze musieli przyznawać słuszność Złotobrodemu. Ale jednocześnie, jako najpotężniejszego spośród siebie, nienawidzili go na tyle mocno, tak pragnęli tego pojedynku, że nie odezwał się ani jeden głos sprzeciwu. Torgund nie musiał walczyć, ale wiedział, że wtedy na zawsze utraciłby twarz. A może po prostu tak bardzo pragnął mnie zabić? Przyjął wyzwanie. Pojedynek na topory to szalenie widowiskowa walka, Jallt, gotująca krew w żyłach. Zwłaszcza, jeśli przeciwnik dzierży broń twojego ojca – urwał na chwilę, znów wpatrując się w oręż trzymany na kolanach. – Tak... Zabiłem go z łatwością, ale broni nie zabrałem. Rozumiałem już, że nie jest mi potrzebny topór Woganda, Torgunda, Darga czy kogokolwiek innego. Tazaniuszowi Arkowi w zupełności wystarcza broń Tazaniusza Arka. – Zacisnął pięść na rękojeści. – Złotobrody zginął, ale zginął z bronią w ręku, zachowując honor, dzięki czemu jego synowie przejęli po nim władzę, choć nie są już tak potężni jak ich ojciec, nie wspominając o Wogandzie, a Północ na powrót pogrzyżyła się w swoich odwiecznych podziałach. Zaś ja, dopełniwszy zemsty, mogłem wreszcie narodzić się na nowo. Miałem dość Północy. Chciałem udać się gdzieś indziej, dalej. Zostałem najemnikiem. Byłem pod Biskvir'k, pod Oninel, na polach Javadoru. Zyskałem dobrą renomę, zresztą wiesz. Początkowo chciałem chyba odnaleźć ojczyzną matki. Ba, może nawet liczyłem, że gdzieś tam ją spotkam. Ale już nie chcę. Nie, Jallt, już nie. Nie teraz. Moje miejsce nie jest ani na Południu ani na Północy. Jest w pamięci tych wszystkich, których na wspomnienie o mnie zalewa zimny pot. Ze strachu. Tak, złodzieju, to moja mała ojczyzna, dobrze się w niej odnalazłem.

– Zaraz... Jak to liczyłeś, że spotkasz matkę? Przecież ona zginęła. Ten Torgund stracił ją ze skały, nie tak?

– Stracił. Ale ona nie zginęła. Runęła głową w dół, prawda. Ale nagle poderwała się i popłynęła w powietrzu, jak łabędzica. Frunęła, bracie. Bogowie raczą wiedzieć, do-

kąd. – Tazaniusz nachylił się do towarzysza, łapiąc go za rękaw. Jego oczy lśniły dziwnym blaskiem. – Wierzysz mi, prawda Jallt?

Złodziej zastanawiał się czy sprawa to pewność najemnika, jego mocny uchwyt, czy aromat wypalonych liści, ale tak właśnie było, wierzył mu, mimo że zdawał sobie sprawę z całej niedorzeczności historii o cudownym ocaleniu matki siłacza.

– Tak, Ark – spojrzał poważnie w niebieskie oczy. – Było tak jak mówisz.

Barbarzyńca odetchnął.

Tej nocy rozmawiali jeszcze długo, a ściany chatki nie raz trzęsły się targane głośnym śmiechem.

(...)

Postać w ciemnym płaszczu z kapturem głęboko nasuniętym na czoło skradała się przez noc, co jakiś czas przystając i nasłuchując. Uszu człowieka dochodziły strzępki rozmów, żołnierskich pieśni, czasem pobrzękiwanie broni, ot, dźwięki zwyczajne dla wojskowych obozowisk. Dookoła płonęły ogniska, przy których grzali się żołdacy. Niektórzy rozmawiali, do wędrowca dolatywały dźwięki różnych języków i narzeczy, wypowiedane przez zlepek obcych sobie ludzi pochodzących z różnych krain, jak to zwykle bywa w wielkich armiach. Jedne znał, innych nie rozumiał, w każdym razie bardziej niż tematy gawęd interesowała go ocena odległości od skrytych w ciemnościach rozmówców. Bowiem mężczyzna pragnął pozostać niezauważony. Całkiem rozsądnie, zważywszy, że przekradał się pomiędzy obozami wrogich armii, rozłożonych naprzeciw siebie w przededniu bitwy.

Był szpiegiem. Zdrajcą, jeśli kto woli. Miał swoje powody.

Omijanie ogni, wart i przypadkowych, pałętających się tu i ówdzie najemników zajmowało dużo czasu. Często musiał przypadać nosem do ziemi, czasem udawać podpiętego wiarusa albo wysokiego rangą oficera, potajemnie kontrolującego czy jego ludzie nie trawią przedbitewnej nocy na pijatyki. Był w tym bardzo przekonujący. I tylko raz jakiś nadgorliwiec przyplącił swą dociekliwość pchnięciem pod żebra. Cóż, ciekawość nie zawsze popłaca.

Co kilkadziesiąt kroków sprawdzał, czy nikt go nie śledzi. Tak jak teraz. Przystanął, ukradkiem ocierając pot z czoła. Serce waliło mu jak oszalałe, lecz myśl o wysokości

nagrody pomagała zmusić ciało do podjęcia wysiłku. Ruszył dalej, nieco uspokojony. Robota szpiega nie jest lekka. Ale opłaca się. Cholernie się opłaca.

Równina, spowita w mroku gęsto przetykanym płonącymi ogniskami, przypominała rozgwieżdżone niebo. Zazwyczaj zielona, porośnięta soczystą trawą, służyła za pastwisko mieszkańcom pobliskiej osady, napełniając krowie brzuchy. Lecz tym razem to ziemia miała się nasycić. Nasiąknąć krwią, zaczerwienić. A zapyziała, mało komu znana miejscowość stać się miejscem, o którym opowiadają legendy. Nazywała się Biskvirk.

Człowiek bezpiecznie opuścił cesarski obóz. Zwinnie, niby dziki zwierz, przemierzył szeroki pas ziemi, na którym niebawem mieli ginąć ludzie. Wreszcie sprawnie ominął czujki wojsk Nadora, wkraczając do serca jego obozowiska. Odetchnął głęboko, na chwilę zapominając, że będzie jeszcze musiał wrócić. Wyszedł z mroku, krocząc śmiało, choć nadal chował twarz w szerokim kapturze. Mądrze, jak przystało na cesarskiego oficera.

Wiedział, że Szandor Nador niecierpliwie go oczekuje. Nad resztą szałasów i namiotów wojsk uzurpatora górował jeden zdecydowanie największy, jego własna kwatery. Cel wędrówki szpiega, gęsto obstawiony wartownikami. Jeszcze kilkadziesiąt kroków, jeszcze kilkanaście... Zwaliste postacie zagroziły mu drogę, kierując włócznie w pierś tego drobnego mężczyzny. Tylko na chwilę. Na dźwięk podanego hasła drzewce rozsunęły się, strażnicy zrobili przejście. Szpieg zniknął wewnątrz namiotu.

Szandor Nador siedział samotnie, na zydlu przysuniętym do drewnianego stołu, pochylając się nad jakąś mapą. Był ubrany po żołniersku i tylko złote obrączki na palcach i złote kółka w uszach świadczyły o chwilowo powściągniętym zamiłowaniu do zbytków. Twarz człowieka, który rzucił wyzwanie całemu Cesarstwu, była przystojna, choć nieco wychudła, pokryta przystrzyganymi na wzór wschodni, wypielegnowanymi czarną brodą i wąsami. Nos miał długi, czoło wysokie, oczy bystre. Nie, więcej niż bystre. Głębokie, przepastne niczym studnia bez dna. Spojrzenie jego ciemnych źrenic hipnotyzowało, odbierało rozum, czarowało. Wszystkich bez wyjątku. Szandor Nador musiał spędzać wiele godzin wpatrując się we własne odbicie, w blask swoich oczu, bowiem sam był szalony. Z gruntu i do cna. Już dawno przestał wierzyć w możliwość niepowodzenia i nawet teraz ze swym najlepszym szpiegiem zamierzał rozmawiać bardziej z ciekawości niż dla rzeczywistej potrzeby. Bo i cóż mogły zmienić zyskane wiadomości, wszak czy ktokolwiek może przeciwstawić się woli bogów? A Szandor owszem, uważał się za boga.

Czujne oczy uniosły się z nad mapy.

– Ach, jesteś wreszcie. Wejdz, Nigg. – Gestem zachęcił zakapturzonego człowieka.

Szpieg tak naprawdę nosił inne imię, jednak za wszelką cenę pragnął zachować anonimowość. Każde ściany mogą mieć uszy, nawet ściany namiotu Szandora Nadora. Dlatego w rozmowach nigdy nie używali rangi ani rzeczywistego miana Nigga, a on sam nie zdejmował kaptura, nie odsłaniał twarzy. Nawet tu, nawet przed Nadorem.

– I cóż? Jakie wieści przynosisz?

– Dobrze, mój panie. Cesarz jest słaby. Nie zdążył zebrać całego wojska, nie przypuszczał, że zdołasz nadciągnąć tak szybko. Jest szansa na zwycięstwo.

Szandor uśmiechnął się wyrozumiale. Szansa? Ech, naiwny człecze. Zwycięstwo jest pewne. Bogowie nigdy nie przegrywają. Nie z ludźmi.

Taaak... Rzeczywiście, nadciągnął bardzo szybko. Co prawda kosztem tego była mniejsza liczba piechurów, lecz ważniejszą rolę mieli odegrać konni. Piechota, którą przywiódł, w głównej mierze złożona z barbarzyńców z Północy, jechała na wozach, razem z podwodami. Przydadzą się, owszem. Ale nadchodzącą bitwę rozstrzygnie konnica. Ciężka jazda. A tej miał pod dostatkiem.

– Słaby, powiadasz. Hmm... Słaby. Widziałem mnogość ludzi po drugiej stronie równiny. Tysiące, Nigg. Dziesiątki tysięcy.

– Tak, panie. To prawda. Jest ich siła. Słusznie rzeczesz, prawiąc o dziesiątkach tysięcy. Bo i są ich tysiące. Konkretnie ponad trzydzieści. Ale gdybyś nie nadciągnął z prędkością jastrzębia, gdybyś, wybacz śmiałość, bawił się, w podjazdy, w zwyczajowe wypowiedanie wojny, oblegał co silniejsze fortece stojące na twojej drodze, słowem, gdybyś mitrężył czas, miast spaść na Cesarstwo z szybkością gromu, imperator zdołałby wystawić jakieś osiemdziesiąt tysięcy.

– Osiemdziesiąt... Hmm... – Nador siedział wpatrując się nieobecny spojrzeniem w płótno namiotu, gdzieś wysoko ponad głowę szpiega. Tak jakby wcale nie słuchał jego relacji. Ale słuchał. Nie uronił ani słowa. Myślał o swojej armii. O piętnastu tysiącach jazdy. I pięciu tysiącach dzikich barbarzyńców z Północy. Tak dużo. I zarazem tak niewiele.

– Zdołałby, mówisz. A tak cóż? Nie wystawi ich? Czy duch poddanych cesarza jest tak słaby, że wystarczy wejść na ich ziemie, by pokryli się w norach niczym zające?

– Wystawi, mój panie, a jakże. Ale za późno. Za późno! Twe wojska, przy całej swej świetności, nie zdołałyby zmóc potęgi tak wielkiej armii. Lecz teraz, gdy nie wszy-

scy lennicy zdołali przysłać swoje poczty, gdy większość ludzi cesarza to jego własne, prywatne wojsko ściągnięte ze stolicy, a niektórzy z obecnych tu wasali chwieją się w swej wierności, zwycięstwo będzie przy tobie, panie. Zwłaszcza, że ponad połowa z tego cesarskiego mrowia to piechota, niemal bezużyteczna w starciu z twą znakomitą jazdą. A kiedy zmożesz imperatora w bitwie, mój władco, droga do stolicy stanie otworem. Cóż z tego, że cesarz zdoła wystawić drugą taką armię, kiedy w twoich rękach będzie serce państwa? Czy lennicy, widząc to, będą chcieli walczyć po jego stronie? Imperator nie jest zbyt kochany, panie. Ten imperator. Lecz to się zmieni, z chwilą, gdy na tron wstąpi Szandor Nador, nowy cesarz, zwycięzca spod Biskvirk, władca świata! – Oczy szpiega rozpałały wizje przyszłości. Nadorowi podobał się jego entuzjizm, bez względu na to czy naprawdę wierzył w to, co mówił.

– Zająć stolicę... Tak... Myślisz, że tak łatwo otworzą bramy?

– Otworzą – Twarz zdrajcy wykrzywił lisi grymas. – Garnizon jest mały, co lepszych ściągnięto pod Biskvirk. Zresztą znam możnych tego miasta... Jeśli wyczują, że zmienił się wiatr, nie będą czekać aż pęd dziejów wymiecie ich niczym jesienne liście. Przejdą na twoją stronę, panie. Przynajmniej niektórzy. To wystarczy.

Szandor przenikliwie wpatrywał się w oczy Nigga.

– Podoba mi się to, co mówisz. Nie pożałujesz swoich usług, szpiegu.

– Dziękuję... Cesarzu! – Człowiek w kapturze skłonił głowę.

– „Cesarzu”... – Nador uśmiechnął się łaskawie. – Tak... Ale do rzeczy, Nigg. Jak imperator rozlokuje swoje wojska? Konkrety, przyjacielu, konkrety!

W jednej chwili zdrajca z pochlebcy na powrót przeobraził się w żołnierza. Jego głos stał się rzeczowy, stwardniał.

– Na lewym skrzydle stoi hrabia Vil z trzema tysiącami lekkiej jazdy, wspomaganej przez tysiąc pieszych łuczników Jarota. Na prawej stronie Lutek ze swoimi jeźdźcami. To dzikus, ale wierny cesarzowi. Ma dobrych ludzi, rzecz w tym, że są praktycznie nieopancerzeni. Waleczni, lecz nie wytrzymają uderzenia twojej konnicy. Wspomaga ich tysiąc konnych strzelców, pod młodym de Xourem. Też lekkozbrojni, ale to dobrzy łucznicy, niebezpieczni. Nie lekceważ ich, panie. Reszta jest skoncentrowana w centrum, właśnie tam spodziewają się głównego natarcia twych pancernych.

– I słusznie – uśmiechnął się Nador. – Bo właśnie tam nastąpi. – Nie był zwolennikiem zawitych nowinek sztuki wojskowej. Lubił proste środki. Lubił odwagę, męstwo. I diablo ufał swej sile.

– Któż zatem będzie wystawiony na nasze główne uderzenie, szpiegu?

– Trzy tysiące cesarskiej jazdy, z czego tysiąc to ciężkozbrojni. Pięć tysięcy piechoty. Dwa tysiące konnych księcia Paukaniusza. Wreszcie dwa tysiące elitarnej gwardii cesarskiej. W odwodzie zostają dwa tysiące konnych hrabiego Bernarda i 10 tysięcy piechurów, w wielkiej części słabo przeszkolonych, z powszechnego, przeprowadzonego w pośpiechu poboru. Ci ostatni nie są ważni. A hrabia Bernard... – uśmiechnął się. – Daję słowo, że gdy pojmie, ku komu chyli się zwycięstwo, będzie na tyle mądry by przejść na twoją stronę, panie. Już moja w tym głowa.

– Trzy tysiące jazdy na lewym skrzydle... Poślę przeciw nim moich barbarzyńców

– Nador mrucał do siebie, oczami duszy widząc już wrzący bój, czując zapach przelewanej krwi. Zapach triumfu.

– Piechota przeciw jeździe, panie? Czy aby wytrzymają?

– Wytrzymają, to istne demony. A nawet, jeśli nie, zwiążą trzy tysiące cesarskiej jazdy, która mogłaby mieć znaczenie przy odpieraniu naszego decydującego natarcia – upajał się własnymi słowami – Na prawą flankę rzucę pięć tysięcy konnicy. Tej lżejszej, gorszej. Na decydujące uderzenie zostaje dziesięć tysięcy jeźdźców. Ciężkozbrojnych. Przeciwno, jak powiadasz, siedmiu tysiącom jazdy, z czego moim dorównać może jedynie dwutysięczna gwardia cesarska – Nadora ponosiła pycha, pewność siebie – I przeciwko piechocie – pogardliwie wyduł wargi – Piechocie! Słyszysz jak to brzmi, Nigg? Nie mają szans. Zwycięstwo przy nas!

– Przy tobie, panie.

– Tak będzie! Poślę w bój skrzydła, a potem pójdziemy ławą, ze środka. Jak wichur! Jak huragan, zmieciemy wszystko, co stanie na naszej drodze! Już jutro! I nie zatrzymam się, nie wcześniej niż w stolicy. A ten nędzny cesarzyna – skrzywił się. – Każę go zamęczyć. Na oczach jego... Na oczach mojego ludu! – Żrenice Szandora lśniły szaleństwem, ale w jego słowach było słychać moc. Potęgę. W tamtej krótkiej chwili szpieg zaiste był w stanie uwierzyć, że stojący przed nim człowiek jest bogiem.

Z tego nedorzecznego wrażenia ochłonął dopiero wracając ku swoim. Otrzeźwiła go noc. Chłodna i przeraźliwie ciemna. Bezgwiezdna. Do pewnego momentu, albowiem nagle ciemność rozświetliły złote błyski. Tylko po to by po chwili na powrót pozwolić pochłonąć świat smolistej czerni. Przez moment zdawało mu się, że dostrzegł wszystkie znajome sobie gwiazdy, opętańczo wirujące wszędzie dookoła. Ale to nie były gwiazdy.

To Nigg był nie dość czujny, pozwalając podejść się z tyłu. Uderzony w głowę stracił przytomność.

Owszem, robota szpiega cholernie się opłaca. Sęk w tym, że nie zawsze i nie każdemu.

Kiedy się ocknął był ciasno skrępowany. Dostrzegł nad sobą pucułowatą, brodatą gębę człowieka w zielonym płaszczu spinanym pod szyją mosiężną kłamrą. Tego, który go ogłuszył. Obok niego stało kilku cesarskich generałów. Między innymi Jonatan Jonasz, obrzydliwa kreatura odpowiedzialna za bezwzględne posłuszeństwo poddanych imperatora. Innymi słowy: za wewnętrzne bezpieczeństwo imperium. Szara eminencja. Całkowicie pozbawiona zasad. Poza jedną – absolutną wiernością cesarzowi. Nigg zamknął powieki. Wiedział, że przepadł. Oczyma wyobraźni dostrzegł kata. I rzeczywiście, w ciasnym namiocie, gdzie się znajdowali, nie brakowało oprawcy ani jego przeznaczonego do tortur ryszpunku.

– Proszę, proszę, pan oficer – brodacz w zielonym płaszczu świdrował szpiega malutkimi oczkami. Wyglądał na dobrodusznego, jowialnego człowieczka. Złudne pozory.

– Śledziłem cię, zdrajco – głos brodatego stwardniał – Mów, o czym rozprawiałeś w namiocie Nadora. Co ten pies zamierza? Jak rozstawi wojska? Gdzie uderzy? Ile wiesz?!

– Oby kozły rznąły wasze parchate matki, psi synowie. Nic... – wycharczał Nigg. – Nic wam nie powiem.

Człowiek w zielonym płaszczu zrobił krok w tył. Na bladej twarzy Jonatana Jonasza zarysował się delikatny uśmiezek. Skinął ręką. Kat postąpił w kierunku skrępowanego jeńca. Na ścianach namiotu tańczyły cienie rzucane przez płomień łuczywa.

– Powiesz, oficerze – szepnął Jonatan. – Powiesz.

Powiedział. Wszystko i szybko.

W małym przedsionku przytulonym do brzucha cesarskiego namiotu tliły się dogasające świece. Świtało. Za grubą kotarą broniącą wejścia jaśnie pan zażywał odr obiny snu przed bitwą. Przed dniem, który miał przesądzić o losach wielu ludzi. Także trzech mężczyzn zebranych przed sypialnią cesarza.

Maldung Bragdon, najbardziej zaufany spośród cesarskich generałów, któremu imperator powierzył dowodzenie całością wojsk podczas nadchodzącego starcia, potarł zmarszczone czoło. Był już zmęczony. Tej nocy w ogóle nie spał, przysłuchując się zeznaniom pochwyconego zdrajcy, konfrontując je z informacjami własnych szpiegów, naradzając z innymi dowódcami, z samym imperatorem, wreszcie poprawiając strategię na zbliżającą się potyczkę. Ostatecznie zdecydowano nie zmieniać rozstawienia wojsk, o którym Nigg doniósł uzurpatorowi. Bragdon nie chciał ryzykować, że Szandor zobaczywszy, iż wprowadzono go w błąd zmieni coś we własnej taktyce, zachowa się nieprzewidywalnie. Wolałby ów poczuł się pewnie, na tyle pewnie by nie zauważyć zastawianej pułapki.

Głównodowodzący cesarskiej armii był roslym, dobrze zbudowanym mężczyzną, o gęstej czarnej czuprynie i przenikliwym, srogim spojrzeniu. Jego twarz okalała smolista broda, stąd też za plecami przezywano go kudłaczem. Bez złośliwości, jako że Maldung był lubiany, tak wśród podwładnych, jak generałów. Surowy, ale sprawiedliwy. Rzetelny i nie nadmiernie chciwy, niezbyt łasy na zaszczyty. Dobry w tym, co robił.

Zaczerpnął wody z dzbana stojącego na ziemi, ochlapując znużoną twarz, po czym przeniósł spojrzenie na czekających w milczeniu żołnierzy. Stali w ciszy, z szacunkiem, ale bez unізoności. Po wojskowemu.

Od dłuższego czasu instruował wzywanych dowódców odpowiedzialnych za poszczególne odcinki szeroko rozciągniętych wojsk cesarskich. Tłumaczył, jaka będzie ich rola w bitwie. Monotonne zajęcie. Na szczęście ci byli już ostatni.

Uważnie spojrział w twarze czekającej dwójki. Obaj młodzi, może nieco nazbyt dufni, skłonni do brawury. Ale znakomicie przeszkoleni, godni sprawowanych funkcji, o czym już nie raz przekonywali. Ufał im. Bardziej niż niektórym starszym generałom, zbyt przywiązany do swego złota i wystawnych rezydencji, by walczyć za cesarza do ostatniej kropli krwi. Tylko w młodości można bez żalu oddać życie za garść piasku, którym wiatr dmucha w twarze podczas bitewnej zawieruchy. Młodość... A oni obaj byli młodzi.

Jan de Xour, komendant konnych łuczników, któremu cesarz zdecydował powierzyć dowództwo prawego skrzydła i Sorg Lauken, jego pierwszy oficer i zastępca. A prywatnie także kompan od kielicha.

Gestem ręki zaprosił ich do mapy.

– Staniecie na prawym skrzydle. Wy i Lutek. Komendę tej flanki sprawujesz ty, de Xour. Spisz się albowiem wszyscy zależymy od waszego powodzenia. – Milczał przez

chwile, jakby zastanawiając się od czego zacząć. – Mamy nad wrogiem przewagę liczebną. Ale on ma pewniejszych ludzi. Więcej konnicy. I przede wszystkim ciężkozbrojnych. Jeżeli uda im się skupić siłę całego natarcia na jednym punkcie, możemy nie zdołać go powstrzymać. Tak jak tama nie zawsze zatrzyma wodę w czasie wiosennych wylewów. Lecz tama nie może być ruchoma, nie przesunie się tam, gdzie najbardziej przybywa wody. My możemy to zrobić! Pojmujesz mnie, de Xour?

– Ufam, że pojmę nim ta rozmowa dobiegnie końca.

Bragdon uśmiechnął się w duchu, zadowolony, że na łuczniku perspektywa rzezi nie robi nadmiernego wrażenia. Obaj, Jan i Sorg, stali chłodni, obojętni. Właśnie takimi chciał ich widzieć. Podczas bitwy rozpaleni płomieniem pasji nadgorliwcy są równie szkodliwi, co tchórze.

– Staniecie z Lutkiem na prawym skrzydle. Przeciw sobie będziecie mieli jazdę. Lekką, ale najpewniej liczniejszą niż wy. Nie dostaniecie żadnych posiłków, więc raczej mieć to na względzie, Janie, planując jakąś nieodpowiedzialną szarżę.

– Raczę, Maldungu.

– Nie oczekuję, że zepchniecie czy rozgromicie nadorowych na tym odcinku. Nie w tym rzecz. Chodzi tylko o to by związać ich walką, uniemożliwić pójdzie na pomoc głównym chorągwiom, kiedy zajdzie taka potrzeba.

Obaj mężczyźni lekceważąco uśmiechnęli się pod nosem.

– Nie ma się z czego śmiać, to nie wszystko. Myślicie, że wasze zadanie jest takie proste? Nic z tego! Nie poświęćcie na nie całych swoich sił. Oczekuję, że podczas gdy część powierzonych wam ludzi będzie powstrzymywała lekką konnicę Szandora, reszta przejdzie na tyły jego centrum. To ryzykowna operacja. Po pierwsze zakłada, że ten pies nie zostawi w odwodzie żadnego oddziału ciężkiej jazdy. Po drugie tak czy owak bardzo niebezpiecznie jest przeciskać się między dwoma kolumnami wojsk przeciwnika, mogących zgnieść was na proch jak kamienie młyńskie. Istota rzeczy w tym by rozciągnąć ich linie. Liczę, co prawda, że w centrum Nador nieco zepchnie naszych, a wy na prawej flance utrzymacie swoje wyjściowe pozycje, dzięki czemu będzie miejsce do takiego manewru. Ale tak nie musi być... Choć lepiej dla was żeby było. Lepiej dla nas wszystkich.

– A kiedy już będziemy na tyłach? Co wtedy?

Maldung zmrużył oczy.

– Pewniście siebie, moi młodzi przyjaciele... Może nieco nazbyt pewni. Jeśli uda wam się zająć tych psich synów z tyłu... Macie zasiać popłoch! Zamęt. To pomoże przejść

gwardii do decydującego natarcia. Aha, kiedy nadorowi będą się cofać nie oczekuję, że dacie się zabić byle tylko stanąć im na drodze. Możecie ich przepuścić. W rozsądnych ilościach – mówiąc to dawał im nadzieję na przeżycie. Dość złudną i mglistą, ale jednak.

– I cóż, de Xour? Pojąłeś?

– Najzupełniej, generale.

– A ty, Sorg?

– I ja – wyszczerzył zęby Lauken.

– To, na co jeszcze czekacie? Marsz do swoich, gotować się do bitwy!

Kiedy odeszli przysiadł na zydlu i nie potrafiąc się powstrzymać parsknął śmiechem. Śmiał się na wspomnienie dwóch młodych oficerów. Bo i rzeczywiście dla starego wojownika mogli przedstawiać dość komiczny widok, choć sami byli przekonani o tym, że wyglądają nad wyraz godnie. Twarde, zacięte miny, dumne oblicza. Obaj wysocy, przystojni, zwłaszcza Sorg, bardziej rozłożysty w ramionach od szczupłego towarzysza, kruczowłosa, o czarującym uśmiechu, ostrych rysach twarzy. Lecz tym, co śmieszyło Maldugna bardziej niż dufne miny były hełmy trzymane pod pachami rycerzyków. Ten de Xoura był zrobiony ze srebrnej blachy, kuty w kształt wilczej głowy, z rozwartym pyskiem w miejscu ust i wyciętymi otworami na oczy. Niezwykle niepraktyczny, bowiem najłżejsze uderzenie topora czy maczugi rozwaliby go na kawałki, razem z łbem właściciela. Hełm Laukena był równie bezużyteczny, złożony, z kręcącymi się po bokach niby baraniami rogami. Ech, fanaberie, które musiały kosztować małą fortunę. Nieprzydatne w boju, za to bezwzględnie przyciągające oczy dziewcząt i statecznych niewiast, budzące zazdrość wśród młodych rycerzyków. Przekłeta moda. Cóż, prawa młodości.

Założył ręce za głowę, odchylając się do tyłu. Tak, młodość. Piękna, choć durna, nieprawdaż? Nagle posmutniał, na myśl ile młodych żyć zostanie niebawem zakończonych we wzajemnym wyżynaniu się dwóch wielkich armii. Tylko dlatego, że gdzieś ktoś zapragnął mieć więcej niż już posiadał. Siedział, milczący, zamyślony. Nie, nie tylko dlatego. Walka to naturalna potrzeba wpisana w pierwotny charakter człowieka. Jak jedzenie, jak miłość. Nigdy nie będzie istniał świat bez wojen. Nigdy.

Otrząsnął się niczym pies wyskakujący z wody. Wstał, przypasał miecz. Na twarz powracał wyraz spokoju, zadowolenia.

Wojna!

Słońce świeciło nad zieloną równiną pod Biskvirk. Niebo było błękitne, czyste. Przyjemnie oglądać świat w taki dzień. Mrowie ludzi rozciągniętych naprzeciw siebie syciło wzrok pięknem poranka. Wielu z nich miało nie doczekać następnej takiej okazji.

Dwie armie gotowały się do boju. Po jednej stronie cesarskie wojsko, po drugiej nadorowi najemnicy. Jedni i drudzy zarówno potężni jak nie wolni od słabości. Wczorajsze obozowiska skryły się gdzieś daleko za lasem tarcz i włóczni. Tylko jedna strona miała powrócić do swych namiotów, nasyciwszy się krwią, napawając zwycięstwem. Drugim przeznaczono śmierć bądź odwrót w hańbie.

Gońcy objeżdżali linie, obserwując szeregi nieprzyjaciela, przynosząc rozkazy. Przygrzewało słońce.

Maldung Bragdon siedział na dorodnym siwku. Patrzył przed siebie, przysłoniwszy ręką oczy. Tuż pod nim rozlewały się jego własne zastępy. Teraz, na krótką chwilę to on stawał się władcą. Imperatorem. Prawdziwy cesarz, otoczony zbrojną świtą, miał obserwować starcie z daleka, w każdej chwili gotowy do ucieczki w razie niepowodzenia. Za najbardziej wysuniętymi liniami Bragдона rozciągały się połacie soczystej, zielonej trawy. Wzrok dowódcy przebiegał je powoli, niby ptak sunący tuż nad ziemią, niemal szorujący brzuchem po murawie, by wreszcie nagle podnieść się do góry, spocząć na zakutych w żelazo oddziałach Nadora. Dużo ich było. Z prawej strony równe rzędy lekkiej jazdy, tej, której czoła stawiać mieli podwładni de Xoura. Dalej skrzące się w promieniach słońca linie pancernych, tworzące centrum armii uzurpatora, łeb tarana, którym zamierzał wyważyć bramę do przejścia władzy. Do zwycięstwa. Mnóstwo, cała masa zbrojnej konnicy. Maldungowi przemknęło przez głowę, że będzie bardzo ciężko. Nad szeregami wojsk Szandora powiewały różnobarwne sztandary, symbole ziem i rodów, które oddały mu swe usługi w nadziei na zysk. Nad armią Bragдона wiatr kołysał porcami lenników cesarza. Z jednej strony główną uwagę przyciągała czerwona chorągiew imperatora, z drugiej czarna Nadora, z białym gryfem pośrodku. Maldung Bragdon wyteżył wzrok. Wypatrywał swojego głównego wroga. W końcu udało się, dojrzał go. Szandor Nador siedział na wielkim czarnym rumaku, obleczony w najlepszą zbroję, z półtorarocznym mieczem w prawicy, z białym gryfem na czarnym puklerzu. Był silnym człowiekiem. Mężnym. Miał zwyczaj osobiście wieść swych ludzi do walki, w przeciwieństwie do cesarza. Odwaga. Albo szaleństwo, zależy jak na to spojrzeć. Bragdon przyjrzał się uważniej. Liczył. Linie, rzędy. W końcu dał sobie spokój. Tamtych było dużo, to wystarczy. Zmogą ich albo pozwolą się zmóc, rachowanie nic tu nie zmieni. Prze-

Krew szybciej krążyła im w żyłach, mięśnie drgały. Czerwony obłok przed oczami, ucisk w skroniach. Zaczęło się. Wreszcie.

Powietrze wypełnił miarowy odgłos bębnów obciągniętych koźlą skórą. Bębniarze wyznaczali rytm marszu. Najpierw powoli, spokojnie. Później coraz szybciej, nagłąc krocących do zwiększenia tempa, które przed samym starciem miało przerodzić się w bieg.

Bum, bum, bum, bum. Miarowo, głośno.

Nad równinami Biskvirk rozbrzmiało zawołanie bojowej pieśni.

Marsz, marsz, marsz!

Dooo bojuuu marsz!!

Zwycięstwooooo czeka naaaaas!!

Dooo bojuuu nadszedł czaaaaas!!

Dooo bojuuu nadszedł czaaaaas!!!

Bębny grały, miecze i topory uderzały w tarcze. Barbarzyńcy przyspieszali.

Zwycięstwooooo czeka naaaaas!!

Uderzenie w puklerze.

Dooo bojuuuu nadszedł czaaaaas!!!

Kolejne.

Hrabia Vil rozejrzał się po swoich oficerach. Zatrzymał spojrzenie niebieskich oczu na pięknej twarzy Wetoniusza. Nie lubił go. Poza tym od dawna podejrzewał, że ten zarozumiały piękniś potajemnie chędoży jego młodą żonę. Doskonale, zatem niech ginie pierwszy. Wydał rozkaz. Wetoniusz zatoczył koniem. Przez chwilę przepełniał go żal, że być może już nigdy więcej nie legnie na hrabiance, nie przydusi swym ciężarem jej drobne, młodego ciała, że żona Vila nie będzie już wic się pod nim jak kotka, drapać paznokciami jego pleców, krzyczeć w spazmie rozkoszy. A potem uderzył weń ryk barbarzyńców i myśl o hrabiance uleciała, serce przepełnił zew wojny, żądza krwi. Wetonisz

runął w stronę atakujących na czele oddziału cesarskiej jazdy. Vil patrzył za nim, życząc mu śmierci. Jego życzenie miało się spełnić.

Barbarzyńcy wciąż śpiewali.

Dooo bojuuu nadszedł czaaaaas!!

Dooo bojuuu nadszedł czaaaaas!!!

Łatwo!!!

Krzepko!!!

Sławnie!!!

Po każdym słowie następowało uderzenie w tarcze.

Łatwo!!!

Krzepko!!!

Sławnie!!!

Naraz zamilkli. Bębny także. Na chwilę. A potem powietrze przepęłnił wrzask pięciu tysięcy gardeł. Ludzie Jatagana Harvgryyvda ruszyli biegiem.

Jeźdźcy Wetoniusza dobyli mieczy, unieśli się w siodłach. Odpowiedzieli krzykiem, choć nie tak dzikim, ludzkim. Jataganowi darli się niczym bestie.

Starli się niemal w połowie drogi. Konnica wpadła w szeregi barbarzyńców tnąc i rąbiąc z góry, rozpraszając nacierających. Ale mimo to żaden z nich się nie cofał, Północ zna tylko dwa rozstrzygnięcia raz podjętej walki: zwycięstwo albo śmierć. W pierwszej chwili wydawało się, że tych kilkuset konnych, nawet nie jedna trzecia rycerzy, jakich miał pod sobą hrabia Vil, zmusi do odwrotu daleko liczniejsze hordy barbarzyńców. Zmasakruje, upokorzy. Jeźdźcy wbijali się głębokim klinem w tę, wydawałoby się, bezładnie biegnącą gromadę, wyrąbywali krwawe ścieżki. Lecz gdyby ktoś przyjrzał się uważnie, dostrzegłby znamię ładu w na pozór niezorganizowanej watadze najemników z Północy. Owszem, pierwsze szeregi były bezładną mieszaniną ludzi, w napierśnikach i bez, z siekierami, mieczami, maczugami. Nie było mowy o jakiegokolwiek karności, o porządku. Lecz w pewnej odległości od czoła biegła zaskakująco równa linia. Tworzyli ją wojownicy roślejsi od innych, wyżsi, potężniejsi. Istne baśniowe olbrzymy. Obleczeni w

kolczugi. Z rogatymi hełmami na głowach i dwuręcznymi toporami w wielkich garściach. Nie dostrzegli tego konni Wetoniusza, upojeni krwawą daniną. Ale ci z barbarzyńców, których jazda zrąbywała w pierwszej kolejności wiedzieli. I nie mieli za złe, że to oni wstrzymują pierwszy pęd nieprzyjaciela, płacąc za to własnym życiem. Są tylko dwa możliwe rozwiązania. Zwycięstwo albo śmierć. A skoro śmierć – teraz czy później, to już bez znaczenia.

– Haaaaaa!!! Śmierć psu Nadorowi!! Śmieeeeerć!!!! – Wetoniusz z krzykiem rozplątał wykrzywioną bitewnym szalem twarz jakiegoś zagradzającego mu drogę tarczownika. Znów się zamachnął, opuszczając klingę w gęstwinę jasnych bród i włosów, znaczonych na purpurowo krwią ich dzikich właścicieli. Przepęniało go upojenie, ekstaza. Kątem oka dojrzał rogaty hełm. W następnej chwili nie widział już nic, rozcięty potężnym machnięciem topora. Nie on jeden.

Konnica uderzyła w rogatych olbrzymów niczym morze w skalny brzeg. Wściekle, groźnie, tylko po to żeby cofnąć się, natrafiwszy na opór. I znów uderzyć, też bez efektu.

Ciężkie topory pruły powietrze, dosięgały jeźdźców i koni. Piesi topornicy z innej części świata nie byliby w stanie wytrzymać uderzenia jazdy. Lecz ci pochodzili z Północy. Choć pewnie nawet oni nie mieliby szans z ciężkozbrojnymi i po chwili oporu, złamani, poddali się nacierającej fali, tyle, że na własne szczęście stawali naprzeciw lekkiej konnicy, a nie pancernych. Ostrza barbarzyńców wchodziły w cienkie kolczugi jak w masło, rozdzierały nieosłonięte końskie pyski i piersi. Na polu walki zakotłowało się, zakłębiło. Buchnęła krew. I coś jeszcze. Ryk z tysięcy dzikich gardeł. Teraz nawet ci z pierwszych szeregów, wcześniej masakrowani, wydawałoby się, że już pobici, wracali do walki z szaleństwem w oczach. Ten i ów nie miał odrąbanej dłoni lub całego ramienia, innym wypływały wnętrzności z rozprutych brzuchów, broczyły czerepy, a mimo to rzucali się na wrogów z jednym tylko zamysłem: zabić. Dla chwały Północy. Dla zwycięstwa.

Natarcie konnych, ogarniętych teraz przeważającą masą piechoty, zatrzymało się, zamieniło w obustronną rzeź. Vil nie zamierzał czekać aż dzikie hordy wyrzną jego ludzi do nogi, już pchał do ataku następny, tysięczny oddział. Lecz tym razem jeźdźcy nie wpadli w szeregi najemników z takim piorunującym skutkiem jak wcześniej. Musieli przedzierać się przez pobite konie, przez przypadkowe barykady powstałe ze stosów poległych. Potyczka przemieniła się w zażarty bój. Życie za życie. Krew za krew. Widząc to komendant posłanego oddziału próbował z częścią swych ludzi manewru okrążającego. Bez powodzenia, wielu nie zdołało wyrwać się z kotła, jakim stało się teraz pole bi-

twy, inni w panującym zgiełku nie słyszeli wykrzykiwanych rozkazów. Ci, którzy podążyli za swym dowódcą, na flance najemnej piechoty Nadora napotkali mur tarcz, zza których godziły w nich miecze i topory. Nie zdołali oderwać się od nieprzyjaciela by po przegrupowaniu uderzyć ponownie, wciągnęci w rzeź, w wojnę na modłę Północy. W masakrę.

Hrabiego Vila zdjął strach. Pojął, że być może nie zdoła spełnić rozkazu, że nie odepchnie najemników tak, by pozbawić ich możliwości połączenia z głównymi siłami Szandora Nadora. Gorzej, zrozumiał, że sam może być zmuszony do odwrotu. Do odwrotu! Jego jazda! Przez pieszych! Wściekłość na myśl o podobnym wstydzie wykrzywiła mu oblicze. Kazał przywołać Jotara Pasryjczyka.

Sławny łucznik bez pośpiechu stawiał się przed dowódcą lewego skrzydła cesarskiej armii. Spojrzał pytająco w oczy Vila. Hrabia dostrzegł w tym spojrzeniu nieskrywaną drwinę.

– Rozstawiaj swoich ludzi. Szybko! Widzisz, co się dzieje? Macie strzelać. Strzelać! Zmusić tych dzikusów żeby się cofnęli.

– Bardzo chętnie, jasnie hrabio – w głosie łucznika brzmiała kpina. Kpina, która dla Vila była nie do zniesienia. – Ale tam są też i nasi rycerze.

– Cholera z nimi! Rozkazuję ci strzelać! – Vil kipiał z wściekłości.

– Słyszałem. Ale odmawiam strzelania do naszych.

Generał natarł na niego koniem. Nie panował nad sobą.

– Ja tu dowodzę, ty parszywy robaku, ty ścierwo! I w imieniu cesarza rozkazuję ci... – nie dokończył. Sztylet zniemacka ciśnięty przez Jotara trafił go prosto w szyję. Z ust dostojnika buchnęła krew. Łucznik nie lubił, kiedy mu ubliżano. Zwłaszcza publicznie.

Ludzie hrabiego oniemieli. Jego świta w pierwszej chwili nie wiedziała co zrobić. Kiedy ochłonęli, mieli przeciw sobie tysiąc łuczników gotowych do strzału na rozkaz swego dowódcy.

– Spokojnie – wysyczał Jotar, wyszarpując nóż z gardła trupa. – Wszyscy widzieliście. Hrabia oszalał. Rzucił się na mnie jak dzikie zwierzę, musiałem się bronić – uważnie powiódł wzrokiem po vilowych oficerach. – Ktoś uważa, że było inaczej?

Nikt się nie odezwał, tysiąc napiętych łuków pomaga w podejmowaniu mądrych decyzji.

– Doskonale. Teraz to ja przejmuję dowództwo, jako najstarszy rangą – lekko wskoczył na rumaka hrabiego.

– Ty – wskazał na jednego ze swych podkomendnych – Na koń i pędź do cesarza z wiadomością o śmierci tego głupca. I o moim przywództwie. A wy, dzieci – zagrzmiął do łuczników – Ustawić się. Zasypać pole morzem strzał! Ci przekłęci barbarzyńcy mają się cofnąć. Za wszelką cenę! I cofną się! Przysięgam, że zmusimy ich do odwrotu!

Jeden z młodych rycerzyków Vila nachylił się w stronę Jotara z drżącym szeptem.

– Ale panie... Tam są i nasi. A przecież przed chwilą odmówiłeś hrabiemu strzelania do swoich...

– Ja? Odmówiłem? – odszepnął mu łucznik – Nic podobnego, młodzieńcze. Pierwsze słyszę. Musiałeś nazreć się blekotu – spojrzął na niego z obłudnym uśmiechem.

Nikt nie zaprotestował. Nie był po temu czas i miejsce. Poza tym przewrażliwiony na punkcie młodej żony Vil, nie miał wielu przyjaciół na cesarskim dworze, w przeciwieństwie do komendanta pieszych łuczników.

– Zaczynajcie! – rozkazał strzelcom nowy, samowolny wódz lewego skrzydła.

Niebo zasnuło się chmurą wypuszczonych pocisków. Spadły na walczących niczym krople ulewnego deszczu. Deszczu, który nieco studzi głowy, budzi z bitewnego szaleństwa. Niosły śmierć. Tak jednym, jak drugim. Barbarzyńcy usiłowali zasłaniać się tarczami. Ze średnim skutkiem. Nie strzymali, musieli odstąpić, wyjść spod gradu morderczych pocisków. Jotar posłał za nimi świeżą jazdę.

W tym czasie na wszystkich odcinkach frontu dawno trwała już zażarta walka.

Kiedy piechota Jatagana Harvgryyvda poszła do ataku, de Xour był nie mniej zdziwiony od Maldunga Bragдона. Na swoje szczęście dostatecznie szybko pojął, co oznaczało to szalone uderzenie. Nador zaczynał od skrzydeł. Po to by, kiedy wreszcie pchnie do walki ciężkozbrojnych, móc utrzymać względną łączność między wszystkimi członkami wielkiej armii. Czyli zrobić to, do czego on, Sorg i Lutek mieli za wszelką cenę nie dopuścić. Wiedział co należało uczynić: uprzedzić natarcie jazdy, którą miał hen, naprzeciw siebie. Powiódł wzrokiem po szeregach przeciwnika. Wyglądali na dobrych, solidnie wyekwipowanych żołdaków. Słońce przeglądało się w grotach ich włócznie, w hełmach, w naramiennikach. Wielu ich było, psubratów. Niedobrze. Odwrócił się ku swoim. Dostrzegł rozciągniętą w uśmiechu twarz Sorga Laukena, dosiadającego dobrego, rączego konia, dla żartu przezwanego Trzęsizadem. Sorg był w swoim hełmie z kręconymi rogami, w złożonym lekkim napierśniku. Dalej stali jego łucznicy. Patrzył na nich z prawdziwą przyjemnością. Nie dla widoku, jaki przedstawiali. Z powodu umiejętności,

o których wiedział. Wszyscy na dobrych wierzchowcach, jednakowo odziani, w lekkich kolczugach, pod którymi mieli skórzane kaftany. Na kolczugi włożone czerwone tuniki. Kolor cesarza. Srebrzyste hełmy, skórzane nagolenniki i karawasze. Na plecach kołczany pełne strzał. I łuki. Najlepsze, jakie robiono w całym Cesarstwie. Wreszcie krótkie miecze przy pasach, choć żaden z nich nie był wprawny w fechtunku. Jedynym naprawdę dobrym szermierzem wśród całej gromady konnych łuczników był Sorg. Dla przeciwagi Jan de Xour w ogóle nie tykał podobnej broni, nie nosił miecza. Nie miał nawet sztyletu za pasem. Jego hełm w kształcie wilczego łba srebrzyście świecił w blasku słońca. Dla ochrony przed rozgrzaną blachą owinął głowę jedwabną chustą, lecz mimo tego i tak czuł na twarzy krople potu. Lekki wietrzyk poruszał płaszczem oficera. Spojrzenie szarych oczu patrzących przez wizury wycięte na podobieństwo wilczych ślepiów przeniosło się na resztę wojska, jakim dysponował. Na Lutka i jego jeźdźców. Na ich pstrokaty szaty, szyte z wełny, bogato zdobione wymyślnymi ornamentami. Na barwnie haftowane siodła ich koni. I na nie mniej kolorowo wyszywane nakrycia głów. Rumaki starszyzny miały na łbach maski z przyprawionymi jelenimi rogami. Ot, zwyczaj dzikusów, tylko powierzchownie podporządkowanych Imperium, zhołdowanych siłą. Dla de Xoura to wszystko nie miało znaczenia. Liczyło się, że mieli dobre konie. I że byli wyśmienitymi jeźdźcami, nie gorszymi niż jego łucznicy, uważani za najlepszych w całej cesarskiej konnicy. Przy bokach Lutka i jego współplemieńców kołysały się miecze. Wiedzieli jak ich używać. Nie nosili żadnych pancerzy, ale za to mieli smykałkę do walki. Zaciętość. Nieco przypominali tym barbarzyńców z dalekiej Północy.

Jan skinął na dowódcę kolorowej czeredy. Lutek podjechał bez słowa. De Xour nachylił się w jego stronę, położył mu dłoń na ramieniu.

– Idziemy do ataku. Najpierw ja. Ty czekaj. Zostawię przy tobie jednego człowieka. Będę dawać sygnały, przy pomocy... Zresztą nieważne. On zrozumie, przekaże tobie. Macie robić, co powie. Pamiętaj, że ja tu dowodzę. Dowodzę i odpowiadam głową. Zrozumiałeś?

Lutek nie odpowiedział, uśmiechnął się tylko, ale Janowi wystarczyło spojrzeć w jego chytre, lisie oczy. Wiedział, że ów pojął.

– Saszpak! – de Xour przywołał jednego ze swoich. – Zostaniesz tutaj. Wypatruj flag. I mów temu zacnemu człowiekowi coś z nich wyczytał. A reszta w linię, gotować się!

Łucznicy drgnęli. Na równinie przed wojakami Lutka szybko formowały się konne szeregi. Równe, karne. Jan wziął komendę nad połową, drugą powierzył Laukenowi. Miejsca koło de Xoura i Sorga zajęli jeźdźcy bez łuków, za to z naręczami różnobarwnych chorągiewek w skórzanych pokrowcach przewieszonych przez plecy. Tymi flagami przekazywali polecenia dowódców zrozumiałe dla wszystkich członków oddziału. Polecenia, których wykonywanie opanowano do perfekcji, a których nie dałoby się usłyszeć wykrzykiwanych w bitwie. Poza wspomnianą dwójką takich ludzi było jeszcze kilku, na wypadek gdyby któryś z sygnalistów został zabity.

De Xour wypatrzył ruch w szeregach przeciwnika, nie mógł już dłużej czekać. Spiął konia.

– Naprzód, przyjaciele. Do ataku!

Ruszyli ławą.

Ziemia zadudniła pod końskimi kopytami. Od zastępów wiernych Szandorowi również oderwał się oddział jeźdźców. Pęcniął, rósł w oczach. Jedni i drudzy gnali na spotkanie przeznaczenia, w oczekiwaniu na zderzenie, poprzedzające wzajemne wyrzucanie się w okrutnej walce. Przynajmniej nadorowi mieli prawo tak myśleć. Łucznicy de Xoura zwykle walczyli w inny sposób. Bezpośrednie starcie zawsze pozostawało tylko przykrą ostatecznością. Jan obrócił się do sygnalisty.

– My półksiężyc w okrąg, Sorg z pozorowanym odwrotem, potem połowa do szarży, druga do mnie! Strzelać, kiedy tylko będą w zasięgu. Szybko!

Człowiek uniósł się w siodle, zamachał chorągiewkami. Najpierw zieloną, potem żółtą. Znowu zieloną. Na koniec wywinął młyńca czerwoną flagą. Konni pojęli w mgnieniu oka, rozsypując się po polu według rozkazów swego dowódcy. Na czoło wysunęły się szeregi prowadzone przez de Xoura, podkomendni Laukena, zwolnili, zostali z tyłu.

Wiatr rozwiewał grzywy koni, smagał ludzkie twarze. Dla jeźdźca nie ma bardziej podniecającego uczucia niż szarża, kiedy najpierw przywiera ciałem do końskiego grzbietu, bijąc piętami w bok zwierzęcia i zmuszając je do jeszcze większego wysiłku, by wreszcie unieść się w siodle, dobyć miecza, z krzykiem wznieść broń nad głowę. Łucznicy Jana miast sięgać po główne oręża, zdejmowali z pleców łuki, wyciągali strzały. Zazwyczaj dwie lub trzy, żeby zyskać na czasie. Stawali w strzemionach, napinali cięciwy, owiewani orzeźwiający, chłodnym wiewem, niby wietrznym pocałunkiem. Bo i zaiste był to rodzaj pieszczoty, wyjątkowy, zrozumiały tylko dla nich.

Konnica Nadora jeszcze przyspieszyła, dobyli mieczy. Znaleźli się w zasięgu. I wtedy niebo przesłonił ciemny obłok. Zdawało się, że wypuszczone strzały nagle stanęły w locie, że wiszą nad głowami tych, dla których je przeznaczono, lecz to złudzenie powodowały kolejne pociski, którymi szyły już następne szeregi. Te wystrzelone przez pierwszą linię dawno sięgnęły celu. Obłok nie ginął, na jazdę uzurpatora ciągle spadał grad strzał. W większości celnych. Nie mogło być inaczej, łucznicy byli chlubą cesarskiej armii. Trafiani ludzie walili się z koni, z krzykiem bądź w milczeniu, z cierpieniem w oczach lub nawet nie pojawiwszy tego, co się stało, nieświadomi śmierci. Oddziały wroga skłębiły się, zakotłowały. Ale nie stanęły, nie zawróciły. Wiedzieli. Wytrzymają to. A kiedy wreszcie dopadną do strzelców srogo podziękują za zadane straty. Już niedługo, za chwilę. Mgnienie oka.

Nagle nad głową sygnalisty mignęła biała chorągiew. Równie dotąd szeregi jazdy prowadzonej przez de Xoura zmieniły szyk. Błyskawicznie przechodzili w długą, wygiętą linię, przypominającą nieco kształt półksiężyca. Już nie gnali do przodu, mknęli na oba boki, dzieląc się na pół dokładnie w środku formacji, nie przestając strzelać, wygięci w siodłach. Tamci byli coraz bliżej. Na tyle, że mogli już rozpoznawać swoje twarze. Dzikie, przestraszone lub obojętne. Dowódcy jazdy Nadora nie chcieli dopuścić do rozproszenia ludzi, zezwolić by ci rozluźnili swe szeregi, goniąc za rozjeżdżającymi się na obie strony przeciwnikami, wstrzymali nieco pęd natarcia. Źle zrobili. Właśnie wtedy ostatnie linie łuczników Jana zjechały na prawo i lewo, otwierając przed nadorowymi puste pole, niby wrota. Oczom nacierających ukazał się oddział Sorga, dotąd skryty za plecami pierwszych zastępów. Stali na tyle daleko by nie można ich łatwo dosięgnąć, ale dostatecznie blisko, żeby móc celnie strzelać. Ramiona półksiężyca wygięły się jeszcze bardziej, jeźdźcy de Xoura, objeżdżając pole walki szerokim łukiem, wracali na wyjściowe pozycje. Półksiężyc przechodził w okrąg, dokładnie tak jak kazał Jan. W środku koła stał Sorg ze swoimi. Cały czas strzelali. Łucznicy byli tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, a mimo to uchodzili, zadawszy potężne straty, sami nawet nie draśnięci. Jakiś jeździec oddany Szandorowi zgrzytnął zębami, zamachnął się, cisnął włócznią. Celnie. Oszczep strącił z siodła pechowego strzelca. Na ten widok w kamratów miotacza jakby wstąpił nowy duch. Ruszyli do przodu jeszcze szybciej, zacieklej. Dopadli konnych z ostatnich pozycji, nim ci zdążyli zawrócić, przejechawszy przed frontem nacierających wojsk. Zmiotli ich z siodła, wściekle, bezlitośnie. Okrąg pozostał niedomknięty. Lecz te straty były niczym w

porównaniu z krwawym żniwem zebrany przez strzelców. Cofający się Jan dał nowy rozkaz. Sorg ruszył do przodu. Kolejni ludzie spadali z koni przeszywani strzałami.

Walka trwała na wszystkich frontach. W środku pola Szandor Nador osobiście prowadził do natarcia swoją wyborową jazdę. Wpadli na cesarską piechotę, bezlitośnie ją rozpraszając. Nie stanęli, parli dalej, zderzyli się z konnicą. Cesarscy robili wszystko by dotrzymać pola, nadorowi by przełamać ich opór. W uszy wsączał się zgiełk bitwy, szcęk broni, krzyki. Równina Biskvirk mieniła się kolorowo: zielenią trawy, srebrem oręża, jaskrawymi barwami sztandarów, herbów, purpurą krwi.

Sorg szedł w szarży. Wyglądało na to, że tym razem bezpośrednie starcie na prawym skrzydle będzie nieuniknione. Łucznicy Laukena oddali kolejną serię. Wydawało się, że teraz wreszcie dobędą mieczy. Ale nie. Nagle osadzili konie, rzucając się do odwrotu. Na ten widok lekka jazda Nadora zawyła dzikim wrzaskiem. Okrzykiem triumfu i pogardy. Przedwcześnie. Ludzie Sorga strzelali nawet uchodząc, przez plecy, nie mniej celnie niż wcześniej. Kiedy byli już blisko własnych linii, blisko ustawionych w gotowości Lutka i jego podwładnych, Lauken znowu osadził konia. Cały oddział poszedł za przykładem komendanta. Na powrót ruszyli w stronę atakującej jazdy Nadora. Przez chwilę w oczach tamtych zapłonęła niepewność. Kilkunastu najbliższych wrogów skosiła seria wypuszczonych strzał. Potem kolejna. Aż nagle połowa oddziału z Sorgiem na czele skoczyła w bok, przypadając do stojących łuczników de Xoura. Druga połowa nie zmieniła biegu. Ci wreszcie dobyli mieczy. Jan de Xour zamierzał ich poświęcić. Kogoś musiał.

Starli się. Konni strzelcy byli słabymi szermierzami, ale siła uderzenia jazdy wroga, zasypanej wcześniej morzem strzał, była daleka od tej, jakiej można by oczekiwać. Zakotłowało się, zabulgotało niczym w kotle. Ci z łuczników, którzy nie poszli do zwarcia szyli ponad głowami walczących, mierząc w tylne szeregi przeciwników. Jan wiedział, że jego jeźdźcy nie wytrzymają długo w walce wręcz, że ulegną, muszą ulec. Przywołał sygnałistę.

Stojący przy Lutku Saszpak przyłożył dłoń do czoła. Wyteżył wzrok.

– Jan de Xour zaprasza do ataku.

– Jak mamy atakować, kiedy wasi ludzie zasłaniają nam pole?

– Nie ma obawy – Saszpak uśmiechnął się z pewnym politowaniem. – Usuną się.

– Ano. Skoro tak... – Lutek podniósł rękę. – Bracia! Gotować się! Nacieramy!

W imię wolnooooooooooooościiii!!!

Po chwili po polu pędziła barwna czereda jego jeźdźców. Krzyczeli. Konni de Xoura istotnie zjechali na bok, zrobili im miejsce. Sprawnie i szybko, niczym na jakiejś wystawnej defiladzie, a nie podczas boju na śmierć i życie. Łucznicy, których Jan posłał do walki wręcz, zaczęli iść w rozsypkę, ale wtedy na wrogów spadł Lutek i jego współplemieńcy. Jak jastrzębie. Uderzyli na zmieszane linie nieprzyjaciół, pchając ich do tyłu, zmuszając do odwrotu. Zanim tamci zdążyli się opamiętać, nim walka stanęła w miejscu, a obie strony poczęły wybijać się w krwawej rzezi, nadorowi zostali odepchnięci wystarczająco daleko. Jednocześnie w centrum ciężka jazda pod samym Szandorem spychała w tył oddziały cesarskie. Między skrzydłem a środkiem armii uzurpatora wytworzyła się luka, przez którą de Xour i Sorg mogli wpaść na tyły pancernych Nadora. Dokładnie tak, jak zamierzali.

Jan dał rozkaz. Kolumna jazdy ruszyła przed siebie. Manewr był ryzykowny, przejeżdżali blisko zakutych w zbroje wyborowych wojsk uzurpatora. Spoglądający spod wilczego hełmu de Xour czuł strach na myśl o tym, że ciężkozbrojni mogliby nagle zwrócić się w ich stronę, przyprzeć do ściany masy ludzi wojujących z tyłu, zamknąć jak w klatce, wybić. Ale szczęście było dziś po jego stronie. Od zakutych w żelazo szeregów nie oderwał się ani jeden człowiek. Konni strzelcy przemknęli przez wąski przesmyk między walczącymi, wyszli na tyły wroga. Udało się. W oddali majaczyły namioty nadorowego obozowiska. Szandor, pewny zwycięstwa, nie zostawił żadnych odwodów, pchając do ataku wszystkich jeźdźców. Jan spojrział na cesarskie szeregi. W środku cofały się, ale równo i karnie, a stojąca opodal gwardia, najświetniejsza jednostka imperatora, jeszcze nie wzięła udziału w bitwie. Zaśmiał się cicho. Wiedział już, że wynik walki jest przesądzony. Skinął dłonią. Niektórzy jego ludzie zeskakiwali z siodeł, wyciągali z juk zaostrome paliki, wbijali w ziemię. Między nimi rozciągali cienkie, niewidoczne z dalszej odległości linki. Na niedużej wysokości, ale wystarczającej do tego by obalać wierzchołki, które miałyby nieszczęście najechać na nie w pełnym biegu. Robili to na całej długości centrum Nadora, tworząc szeroki łuk, który powstrzymałby jazdę wroga, gdyby tylko rzuciła się do odwrotu. A Jan nie miał wątpliwości, że tak się stanie. Patrząc z góry można by odnieść wrażenie, że linia zastawianych pułapek układa się w cyniczny, triumfujący uśmiech de Xoura. A może samego imperatora, w końcu to on miał okazać się największym zwycięzcą. Kiedy skończyli dowódca łuczników rozkazał podpalać strzały. Wiedział, że to spłoszy konie, że ostrzelana w ten sposób jazda Nadora zostanie zaskoczona, że ich natarcie ulegnie załamaniu. Zasieje zamęt, dokładnie tak jak mu rozkazano.

I wtedy gwardia dokończy dzieła. Reszty dokonają jego pułapki, uniemożliwiając zorganizowany odwrót. Wiedział też, że skorzysta z pozwolenia Bragдона i przepuści wszystkich uciekających, ocalając własnych ludzi. Wszystkich poza chorągwią samego Szandora. Dał znak, pierwsze płonące strzały spadły na tyły pancernych wroga. W oddali gwardia formowała szeregi. W ich zbrojach złoto przeglądało się wiosenne słońce. Niebawem poszli do kontrataku. Zmieszane, dezorientowane oddziały uzurpatora próbowały dotrzymać pola. Nie zdołały, zaczęły się cofać. Biały gryf nie miał dziś szczęścia. Ten dzień należał do cesarskiej czerwieni. Czerwieni krwi.

Jatagan Harvgryyvд był wściekły. Zmuszono go do odwrotu. Jego! Wielkiego wojownika! Tfu, baba, nie wojownik! Żaden mąż z Północy nie poddaje tyłów. A oni uchodzili, odepchnięci deszczem strzał, gnani przez jazdę, siedzącą im na karkach, rąbiącą łby, trzebiącą jego zaciąg. Taki zaciąg, tylu dzielnych mężów! Oczy jasnowłosego olbrzymia zachodziły krwią z bezsilnej wściekłości. Bezsilnej? Nie, w żadnym razie. Jeżeli mają zginąć, dobrze. Ale zrobią to stając twarzą do przeciwnika. Zatrzymał się, odwrócił. Przed sobą zobaczył jeźdźca stojącego w strzemionach, z mieczem nad głową. Machnął toporem, tamten skowycząc spadł z konia, śmiertelnie rżnięty. Inny ciął mieczem, Jatagan zasłonił się puklerzem, potem sam uderzył. I jeszcze raz, na oślep, w innym kierunku. Za każdym zamachem jego topór barwił się na czerwono, sycił krwią.

– Na nich, psubraty, na nich!!! Nie uchodzić!! Pokażcie coście warci! Półnooooooc!!!! Póóóóółnooooooooooooooc!!!!

– Półnooooooooooooooooooooooc!!!! – niczym echo odpowiedziało dzikie wycie.

Walczyli, ginąc. Niezłomnie, nieustraszenie. Na zawsze wbili się w pamięć tych, którzy tamtego dnia stawiali im czoła. Komendant jeźdźców zobaczył, że Nador przegrywa bitwę, że potyczka na tym skrzydle nie decyduje już o losach starcia. Przerazało go męstwo barbarzyńców, a w przeciwieństwie do nich nie zamierzał umierać dla zasady. Dla honoru. Dał sygnał odwrotu. Z piersi najemników, którzy pozostali jeszcze przy życiu wydarł się okrzyk triumfu. Lecz nie krzyczało pięć tysięcy gardeł, jak na początku. Teraz żywych barbarzyńców zostało mniej niż poległych. Tylko, że prawdę rzekłszy to niewiele zmieniało – Jatagan rozkazałby natarcie nawet gdyby miał do dyspozycji dziesięciu ludzi. Ba, nawet gdyby był sam. Ale nie musiał tego robić. Właśnie wtedy, wśród ryku zwycięzców i biadań pokonanych, runęła główna chorągiew Nadora. Biały gryf na czarnym polu nie powiewał już nad polami Biskvirk. Sam uzurpator bronił się zaciekle,

okrażony przez ludzi wiernych cesarzowi. Reszta jego wojsk szła w rozsypkę albo cofała się w mniej lub bardziej uporządkowanym szyku. Harvgryyvud zrozumiał, że jest zwolniony z przysięgi. Gdyby to była wojna Północy nigdy by nie odstąpił, walcząc do ostatniego wojownika. Ale nie była. Skrzyknął ludzi. Rozpoczęli odwrót. Nikt ich nie ścigał.

Uchodzącym barbarzyńcom przyglądał się mijający ich oddział konnych łuczników, wiedziony przez de Xoura. Jan uznał, że skoro chorągiew Nadora została zdobyta, a sam Szandor nie wyrwie się z okrążenia i zginie lub zostanie pojmany, nie musi dłużej narażać swych strzelców. Wracali ku swoim, celowo koło piechoty, która nie zdołałaby dognać jeźdźców w wypadku jakiegoś przypadkowego starcia. De Xour pragnął uniknąć walki. Z bycia martwym bohaterem i żywym zwycięzcą zdecydowanie wolał drugie wyjście. Zakazał szycia do barbarzyńców, nie chcąc prowokować potyczki. Po prostu mijali się w odległości strzału z łuku, patrząc na siebie. Z zaciekawieniem, czasem ze złością, najczęściej obojętnie. Sorg zamykał kolumnę łuczników. Rozsadzało go szczęście. Wygrali! Cesarz będzie dla nich łaskawy, sypnie złotem. Złotem, które on przeznaczy na gładkie młódki, gotowe na bardzo wiele za jedno spojrzenie zwycięzcy spod Biskvirk! Patrzył na odchodzących barbarzyńców. Górowała nad nimi zwalista postać jasnowłosego wojownika, przewodzącego innym. Przyjemnie byłoby, pieszcząc piersi jakiegoś młodego dziewczęcia, opowiadać mu, że zabił wodza krwiożerczych dzikusów. Wyobraził sobie naiwne, zapatrzone w siebie oczy takiej dziewczki. Uśmiechnął się do własnych myśli. Zdjął łuk. Wymierzył. Strzała pomknęła wysoko pod niebem, trafiając Jatagana pod lewą łopatkę. Olbrzym zachwiał się, wypuścił topór. Upadł. Lauken z szerokim uśmiechem odwrócił się ku swoim. Tak dobrze było być młodym, silnym, móc wybiegać myślami w jasną przyszłość. W tamtej chwili pojął sedno frazesów o pięknie życia. Był szczęśliwy. Nad trupem Harvgryyvda pochylił się półnagi, rudowłosy barbarzyńca, niemal równie wielki, co Jatagan. Podniósł topór zabitego wodza. Popatrzył za odjeżdżającym Sorgiem, zamachnął się. Wydawałoby się, że to niemożliwe, że nie dorzuci. Ale jednak nie było aż tak daleko. A może po prostu barbarzyńca był nadludzko silny? Strzelec spadł z siodła, trafiony w plecy. Uderzył twarzą o ziemię. Myśl o pięknie życia była ostatnią, jaka przeleciała przez jego głowę. Nigdy nie dowiedział się, kto go zabił. Rudobrody miotacz przez chwilę spoglądał w martwe oczy Harvgryyvda. Wreszcie ktoś klepnął go w ramię.

– Nie ma czasu. Ruszaj, Tazaniuszu! – naglił jakiś szorstki głos.

Ark otrząsnął się, podążył za swoimi. Wracali tam, skąd przyszli. Może i przegrali bitwę, utracili obiecane złoto... Tak. Ale zachowali coś daleko cenniejszego. Przynajmniej dla nich. Unosili własną dumę i honor.

Maldung, Jotar, Lutek, czy de Xour nie zadowoliliby się ani honorem ani dumą. W skrytości serc plwali na nie, mniej lub bardziej. Podobnie jak szereg innych generałów i oficerów. No, przynajmniej większość z nich. Lecz ku własnemu szczęściu tamtego dnia zyskali to, na czym im naprawdę zależało: łaskę cesarza. I sławę. Wszyscy, także hrabia Bernard, który odpowiednio wcześniej zorientował się, że imperator jednak zwycięży i głupio byłoby nie przyłożyć do tego ręki. Pośmiertne zaszczyty zyskali nawet Vil i Lauken, opiewani w balladach, jako niezłomni obrońcy jaśnie pana, mimo że śmierć obu wynikała raczej z głupoty, nie męstwa. Sam cesarz był wielkoduszny dla swoich, bezlitosny dla wrogów. Nie okazał łaski nikomu, zwłaszcza Szandorowi Nadorowi, którego rozkazał publicznie zamęczyć na arenie stolicy. Ale mimo klęski, uzurpatora do końca nie opuszczało przeświadczenie o własnej boskości. Do samej śmierci. Kiedy umierał w jego oczach czało się szaleństwo. A razem z nim jakaś dziwna moc, przewrotna, nieuzasadniona pewność ostatecznego triumfu. Przez cały czas, aż do ostatniego tchnienia, przyjętego rykiem urągliwej radości tysięcy gardeł.

To wszystko wydarzyło się dużo później, wśród hałaśliwego jazgotu gawiedzi, śmiechów, krzyków, złorzeczeń. W noc po bitwie było zupełnie inaczej. Nad równinami Biskvirk zapadła cisza. Płaszcz milczenia niczym kir okrywał ciała poległych. Jednakowo, tych walczących bez lęku, jak i tych, którzy stchórzyli w godzinie próby. W miłosiernym chłodzie nocy wszyscy znajdowali takie samo ukojenie. Ostatnie. Najpiękniejsze. Wieczne.

Spis treści

Trzy słowa od autora 3

Prolog 5

Tam i z powrotem, i znowu tam, a z powrotem już nie 12

Wilczy Pan 166

Po drugiej stronie rzeki 353

Epilog 492